

Dekada Literacka

Kraków ■ 16 — 31 III 1992 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 6 (42) ■ Cena 2000 zł

- Rozmowa z Andrzejem Vincenzem ● Galeria „Dekady”: Bednarski ●
● Proza Pachlowskiego i Dutki ● Przekłady Barańczaka i Szuby ● List z Wiednia ●

Pochwała wygnania

Leszek Kołakowski

Tak popularna w dwudziestym wieku postać „intelektualisty na wygnaniu” może chętnie się znakomitą rodowodem: od Anaksagorasa, Empedoklesa i Owidiusza, później Dantego, Oecchama i Hobbesa, aż po Szopena, Mickiewicza, Hercenę, a nawet Wiktora Hugo. Jednakże w większości przypadków współcześni emigranci to raczej uchodźcy, niż wygnanci w ścisłym znaczeniu słowa. Na ogół nie byli deportowani z własnych krajów, wydalani wyrokami sądowymi, lecz uciekali przed prześladowaniami politycznymi, przed więzieniem i śmiercią, albo po prostu przed rygorami cenzury.

To rozróżnienie jest istotne z racji psychologicznych. Często ludzie, którzy dobrowolnie uciekali spod tyrańskich reżimów, czują się nieswojo. Nie są już narażeni na niebezpieczeństwa i trudności, z jakimi codziennie muszą się borykać ich przyjaciele czy cały naród, z którym się utożsamiają. Sprawy nie da się rozstrzygnąć jednoznacznie;

nie można ustalić wyraźnych reguł, by wyrokować, kiedy decyzja o emigracji była uzasadniona, a kiedy nie.

Łatwo zauważyć, iż żadnych nie byłoby korzyści, gdyby Einstein czy Tomasz Mann pozostali w hitlerowskich Niemczech, lub gdyby Chagall nie opuścił sowieckiego Witebska. Z drugiej strony, w Polsce czy w Związku Sowieckim żyje wielu ludzi, których władze bardzo chętnie wysłałyby do innego kraju, lecz ludzie ci uparcie odmawiają wyjazdu, decydując się na więzienie, prześladowania i nędzę. Kto odważyłby się powiedzieć, że nie mają racji? Solżycynina i Bukowskiego trzeba było przemocą wydrzeć z ich kraju, by mogli podzielić smutny los setek wybitnych intelektualistów, których władze sowieckie skazały na wygnanie wkrótce po rewolucji. Wielu przywódców „Soli-

darności” proponowano wolność za cenę emigracji lecz odmówili — niektórzy nadal przebywają w więzieniach, a inni wkrótce w nich mogą się znaleźć. Milan Kundera opuścił Czechosłowację, a Czesław Miłosz Polskę i z ich doświadczeń powstały wybitne dzieła współczesnej literatury. Havel pozostał w swojej ojczyźnie, podobnie jak Herbert. I wszystkim tym ludziom zawdzięczamy wiele. Doktor Faustus i powieści Nabokova są owocem emigracji, podobnie jak dzieła Conrada, Ionesco czy Koestlera, ale Archipelagu Gulag nie mógłby napisać wygnaniec. Nie podobna sformułować ogólnych reguł, które określałyby, kiedy decyzja o samowygnananiu jest właściwa.

Kiedy mówimy o „intelektualiście na wygnaniu”, prawie zawsze mamy na myśli kogoś, kto uciekł przed taką czy inną formą ucisku i zakładamy, że uchodźstwo, nawet przymusowe, jest z wielu istotnych powodów lepsze, niż pozostanie w kraju. Osobliwością Rosji (możliwą ze względu na jej obszar) jest zesłanie w obrębie własnego kraju; zesłaniec dostaje najgorsze z obojga: konieczność porzucenia ojczystej ziemi i tę samą przemoc, jaką znosił przed zesłaniem (oczywiście i w tym przypadku stopień dolegliwości może być różny — wystarczy porównać zesłanie Puszkina na Krym z zesłaniem Sacharowa do Gorki). Mijając tę sprawę, możemy uznać za oczywiste, iż emigracja ma zarówno strony korzystne (wolność), jak i marne (wykorzenienie, nie dające się przewyciężyć kłopoty z obcym językiem).

Ale nie jest oczywista odpowiedź na pytanie, czy emigracja to jedynie wybór mniejszego zła, czy też otwarcie nowych możliwości duchowych, nie znanych tym, którzy pozostali na ojczystej ziemi. Odpowiedzi na to pytanie poszukajmy, przyglądając się losom najbardziej do-

świadczonych wygnańców, wygnańców par excellence, Żydów.

Dopóki żyli w gettach, chroniąc swą tożsamość w skorupie swych bardzo skomplikowanych rytuałów i tabu (być może ta skomplikowana wielość ich praw umożliwiła im przetrwanie: pobożny Żyd nie mógł żyć wśród obcych i zarazem przestrzegać swych obyczajów; sama ich ilość zmuszała Żydów do życia we wspólnocie i uniemożliwiała wtopienie się w chrześcijańskie społeczności), mogli wydawać wielu wybitnych talmudystów i komentatorów Pisma, ale ich kultura bytowała w zamkniętej enklawie. W sensie geograficznym przez całe pokolenia byli ludźmi bez ojczyzny, ale nie byli obcymi w gettach. Uparcie przechowywali w sercach i umysłach utraconą ojczyznę, mniej lub bardziej obojętni wobec kulturalnego świata chrześcijan. Dla pobożnego chasyda nie miało — jeśli chodzi o kulturę — większego znaczenia, czy mieszka w Warszawie, w Szanghaju, czy w Buenos Aires; zachowywał przekazaną mu wiarę, a być strażnikiem tego przekazu, znacząco utrzymać życie duchowe. Ale kiedy zaczęły się kruszyć mury gett pod wpływem tzw. emancypacji (warto pamiętać, jak niejednoznaczne jest to wartościujące pojęcie), Żydzi wtargnęli do duchowej przestrzeni Europy zadziwiająco szybko i skutecznie. Niektórzy, jak Marks, Freud czy Einstein stali się zdobywcami świata, tysiące Żydów weszło do elit wszelkich dziedzin cywilizacji: do nauki, sztuki i polityki. Niejako dzięki wyemigrowaniu ze zbiorowej emigracji stali się wygnańcami w nowoczesnym znaczeniu. Jednak, pomimo wysiłków, większości z nich nie udało się całkowicie utracić dawnej tożsamości i zasymilować się bez reszty. Plemiona, wśród których żyli, postrzegały ich jako obcych i zapewne tak właśnie

Wisława Szymborska

MOŻE TO WSZYSTKO

Może to wszystko
dzieje się w laboratorium?
Pod jedną lampą w dzień
i miliardami w nocy?

Może jesteśmy pokolenia próbne?
Przesypywani z naczyń w naczynie,
potrzęsani w retortach,
obserwowani czymś więcej niż okiem,
każdy z osobna
brany na koniec w szczypczyki?

Może inaczej:
żadnych ingerencji?
Zmiany zachodzą same
zgodnie z planem?
Igła wykresu rysuje pomału
przewidziane zygzaki?

Może jak dotąd nie w nas ciekawego?
Monitory kontrolne włączane są rzadko?
Tylko gdy wojna i to raczej duża,
niektóre wzloty ponad grudkę Ziemi,
czy pokażne wędrówki z punktu A do B?

Może przeciwnie:
gustują tam wyłącznie w epizodach?
Oto mała dziewczynka na wielkim ekranie
przyszywa sobie guzik do rękawa.
Czujniki pogwizdują,
personel się zbiega.
Ach, cóż to za istotka
z bijącym w środku serduszkim!
Jaka wdzięczna powaga
w przewlekaniu nitki!
Ktoś woła w uniesieniu:
Zawiadomić Szefa,
niech przyjdzie i sam popatrzy!

niejasny status, brak wyraźnie określonej tożsamości, pozwalał im widzieć i poddawać w wątpliwość więcej spraw, niż potrafili to ludzie zaspokojeni w danym od urodzenia, naturalnym poczuciu przynależności. Miałoby się ochotę powiedzieć, że to antysemita (o ile nie formułowali swoich poglądów z użyciem takich argumentów jak komory gazowe) uzdolnili w znacznym stopniu Żydów do tylu nadzwyczajnych osiągnięć, właśnie dlatego, że zagrodzili im drogę do moralnego i intelektualnego bezpieczeństwa, jakie daje przynależność do plemienia — francuska, polska, rosyjska czy niemiecka — i pozostawili Żydów na uprzywilejowanej pozycji outsiderów. Wiadomo, że pozycja outsidera jest uprzywilejowana ze względów poznawczych. Turysta często dostrzega rzeczy, których nie zauważają mieszkańcy da-

nego kraju, dla nich bowiem są to naturalne składniki życia (przychodzi tu na myśl turysta w Ameryce nazwiskiem Alexis de Tocqueville).

Dla ludów Księgi, zarówno chrześcijan, jak i Żydów, wygnanie jest zwykłym i nieuchronnym losem ludzi na ziemi. Można iść dalej powiadając, że mit wygnania leży u podstaw wszystkich religii i w naturze każdego prawdziwie religijnego doświadczenia. W przesłaniu każdego kultu religijnego tkwi wiara, że nasz dom jest gdzie indziej. Jednakże można z tego przeświadczenia wysnuć dwa całkiem różne wnioski praktyczne. Jednym jest pogarda dla wszystkiego, co ziemskie i w końcu dla samego życia, które nie może przynieść nic prócz nieszczęść i cierpienia; do takiego przekonania prowadzi często mądrość buddyjska. Ale mo-

(C.D. NA STR. 5)

Lekcja pogładowa

Zbigniew Baran

W Ustroniu Cieszyńskim poznałem sędziwą panią, która z lubością powtarzała porzekadła z czasów Franciszka Józefa. Pani Karola wyciągnęła mi ze swoich „złoty myśli” taką m.in. sentencję: „Tak to jest — proszę pana — na tym świecie, jedna bieda drugą gniecie”.

Wszeghogarniająca bieda usprawiedliwia marazm i stan lenistwa, daje trudny do zbitcia argument, że każde większe przedsięwzięcie rujnuje portfel podatnika. Kraków jest znany, w dobrym i złym znaczeniu tego słowa z „centusiosstwa” oraz z nieufności do tego, co narusza atmosferę ciepłego, koteryjnego zaścianka. Iluż zaprawionych zgrzytliwością głosów mogłem się nasłuchać w związku z zadomowieniem się w Krakowie Międzynarodowego Centrum Kultury. „Kosmopolityczną” stykietę instytucji przyjmowano z nie-

dowierzaniem, a jej cele — ze względu na katastrofalny stan kiesy państwowej i miejskiej — za chybione. Jakoś jednak nie zapowiada się, aby Centrum — to jeszcze nie całkiem opierzone dziecko krakowskiego sympozjum KBWE — miało stać się ideowym i finansowym bankrutem. Daje się wyrazić, że wszysko tu się zasadza na zdrowo pojętym rachunku kapitałowym. Będąc agencją rządową, zapewne ledwie jej starczy na bieżące wydatki i pensje pracowników. Twardy kapitał należy więc zdobywać przyciągając do „europejskiego domu” możnych tego świata: indywidualnych sponsorów i międzynarodowe fundacje.

Jak to robić, pokazało Centrum i jego niekonwencjonalnie działający dyrektor, doc. JACEK PURCHLA, przywoząc do Krakowa

dwie świetne wystawy „niemieckie”. Nie wiem, czy to był przypadek, ale zaprezentowanie w tym samym czasie wystawy: „Grafika niemieckiego ekspresjonizmu” i „Konrad Adenauer — Niemiec i Europejczyk” pozwoliło głębiej wnikać w duchowy rodowód współczesnych Niemiec. „Ekspresjonizm niemiecki” to pokaz malarzy i grafików ze sławnej grupy z okresu międzywojnia „Die Brücke”, która za swoje artystyczne „wynaturzenia została wyklęta przez propagandę Goebellsa — jako tzw. Entartete Kunst. Po drugiej wojnie światowej, kiedy w Niemczech dokonywał się powszechny rachunek sumienia i próba odbudowy zagubionej tożsamości narodowej, dzieła tych artystów niczym „relikwie wolności” zyskały należną im nobilitację. Wystawa „Konrad Adenauer” to z kolei inspirująca refleksja nad człowiekiem symbolizującym demokratyczne i wolne Niemcy. Autorem ekspozycji udało się odmitologizować zbrukaną przez propagandę komunistyczną postać pierwszego kanclerza Niemiec: owego nieustannego „rewizjonisty” i „rycerza zimnej wojny”. Okazuje się, że wznowiony po wojnie Zakon Kawalerów Krzyżackich — do którego wstąpił Adenauer — miał od samego początku zbożne, charytatywne cele, i jest stowarzyszeniem otwartym. Adenauer był prześladowany przez hitle-

rowców i trafił do obozu koncentracyjnego, gdzie m. in. nawiązał przyjazne kontakty z Polakami. Jak to podniósł w czasie uroczystego wernisażu przez fundacji Konrada Adenauera, Paul Wink, potwierdził w swoim słowie wiążącym red. Jerzy Turowicz, niespełnionym zamysłem kanclerza było — wzorowane na historycznym zbliżeniu z Francją — pojednanie z Polakami. Zgromadzone w galerii Centrum rekwizyty świadczą, że Adenauer umiał również smakować uroki życia, hodował róże, grał w boccie, a robione mu przez Salvadore Dali i Oskara Kokoschkę portrety wskazują na jego artystyczny snobizm.

Wystawę o Konradzie Adenauerze sfinansowała fundacja jego imienia, a przewóz zbiorów graficznych z Nowego Jorku opłaciła opolska firma Novomex. Złowiony przez dyrektora Centrum Serge Sabarsky, autor prezentowanej w krakowskim „Arsenale” ekspozycji graficznej niemieckich ekspresjonistów, podczas zaplanowanego na czerwiec Europejskiego Miesiąca Kultury wprowadzi nas tym razem w narkotyczny czar wiedeńskiej moderny: „Sztuka Wiednia z przełomu wieków”. A więc da się wiele dokonać. Byłoby tylko zawczasu nie wsiąknąć w krakowską matnię niemożności i biedy.

Co nowego w prasie?

Lecz Hrabia (...) upodobał mury, tłumacząc, że gotyckiej są architektury; Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tem, że architekt był majstrem z Wilna, nie zaś Gotem.

Spór Hrabiego z Sędzią o styl i pochodzenie zamku Horeszków pasuje jak ulał do dzisiejszych sporów o naturę instytucji lub osób działających w minionym reżimie. Według współczesnych odpowiedników Mickiewiczowskiego fantasty-maniaka są one natury komuszej, a nawet zgola stalinowskiej i jako takie ex definitione złe, zasługujące wyłącznie na unicestwienie. Ich pragmatyczni oponenti usiłują wzorem Sędziego „przekonywać o tem”, że nie wszystko, co kiedyś powstało, było złe, że wtedy też pracowali dobrzy majstrzy, nie zaś barbarzyńcy, etc.

W ostatnim (9) numerze TY-GODNIKA POWSZECHNEGO w roli Sędziego występuje doc. Jan Srodoń. W artykule „Czy nauce polskiej potrzebna jest rewolucja?” podejmuje sprawę ew. likwidacji Polskiej Akademii Nauk, co jak wiadomo, stawiają sobie za cel zwolennicy rewolucyjnych przekształceń strukturalnych polskiej nauki, a także minister Stelmachowski: w trakcie zmagania o reformę środowiska naukowego stoczyło w mass mediach własną „wojnę na górze”. Efektem jest skłócenie środowiska i dramatyczny spadek jego autorytetu (...). Myślę, że gdyby nie ta wojna, nie doszłoby do obniżenia nakładów na naukę w budżecie państwa do poziomu najniższego w historii Polski — stwierdza autor. Przypomina również, że obecny model nauki w Polsce nie jest produktem komunizmu, lecz wykształcił się w toku długiego procesu ewolucji (...). Pierwszy instytut resortowy czyli obecny Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach powstał jeszcze pod zaborami. Wiele placówek PAN wywodzi się z placówek naukowych dziewiętnastowiecznej Polskiej Akademii Umiejętności, której struktura była bardzo zbliżona do obecnej struktury PAN.

Jako galicyjski konserwatywa doc. Jan Srodoń proponuje reformę struktury (brak tu miejsca na szczegóły) z pozostawieniem nazwy Polskiej Akademii Nauk dla odnowionego centrum badań naukowych. Wysuwa przy tym m.in. argument rzadko uwzględniany w przedmiotowej sprawie: Na scenie krajowej PAN jako instytucja postrzegany bywa rozmaicie, natomiast nikt nie kwestionuje ogromnego dorobku naukowego jej instytutów, a tylko ten aspekt widać z zagranicy, gdzie firma Polskiej Akademii Nauk jest znana i w wielu dziedzinach cieszy się bardzo dobrą reputacją.

W związku z ostatnią książką Marii Janion „Projekt krytyki fantazmatycznej” i dyskusją, jaka się wokół niej wywiązała, Tadeusz Drewnowski w szkicu „Propozycja nie do odrzucenia” kreśli kilka interesujących uwag na temat obecnej sytuacji polskiej literatury i jej przyszłych perspektyw (POLITYKA nr 9, comiesięczny dodatek „Kultura”). Czy dzisiejszy dramatyczny proces pokojowego odrotu od „realnego socjalizmu” w społeczeństwie, które zaznało innych niż Zachód doświadczeń i nabyło innych nawyków, nie tylko negatywnych, nie byłby procesem równie fascynującym, gdyby nie tak nużącym? Tymczasem nie tylko politycy (...) również pisarze nie potrafią się z nim uporać — stwierdza Drewnowski, zauważając jednak w dalszym ciągu swoich refleksji także zjawiska pozytywne: w literaturze polskiej mimo kryzysu zarysowały się (...) projekty, które sprawdziły się i w większości nadal się sprawdzają. Pomijając Gombrowicza i Miłosza (...) wymienię przykładowo takich pisarzy jak Kantor, Lem, Białoszewski, Różewicz, Szymborska, Terlecki... Nie wymijają oni wciąż nas pociągającej, a odpornej i nie bezdyskusyjnej przecież perspektywy cywilizacyjnej.

J. L.

W sprawie „PANI HELENY”

W poprzednim numerze „Dekady Literackiej” ukazała się recenzja Justyny Zarzyckiej z „Pani Heleny” Tymona Terleckiego, w której to recenzji autorka wytknęła edytorom szereg błędów.

Może należałoby zacząć od wyjaśnienia czytelnikom „Dekady”, iż książka Tymona Terleckiego nie jest biografią naukową, materiałową, ani nawet popularnonaukową monografią o Helenie Modrzejewskiej. Jest zbeletryzowaną opowieścią biograficzną i jakkolwiek autor oparł ją na dostępczej ówczesnej wiedzy teatrolologicznej, to jednak przede wszystkim posłużył się przy jej tworzeniu warsztatem pisarskim. Do licznych profesji Autora wymienionych przez recenzentkę trzeba dodać po prostu — pisarstwo.

Decyzja Autora o ponownym wydaniu „Pani Heleny”, tym razem już w Polsce, ogromnie nas ucieszyła, i nie dziwiła. Z wydawniczego punktu widzenia książka Terleckiego właśnie z powodu swojego ujęcia tematu — portret artystki stworzony został nie tylko przez pisarza-teatrologa-historyka teatru, ale i filozofa, psychologa, historyka obyczajów epoki — a więc książka przez swoje niezwykle walory zaliczała się do tych nielicznych biografii, które mimo upływu lat zwykle się przypominają czytelnikom bez komentarzy. Jest to, jak wiadomo, powszechna praktyka. Tekst wydania WL nie różni się od wersji londyńskiej. Autor i wydawnictwo wprowadzili jedynie niewielkie poprawki literowe.

Obawialiśmy się jednak dwóch rzeczy: reakcji księgarzy na nie znane im nazwisko i opinii teatrologów. Pierwsze informacje od dystrybutorów o zainteresowaniu czytelnictwem przechodziły nasze oczekiwania. Było ogromne zainteresowanie książką dającą psychologiczny portret wielkiej aktorki, skierowaną do szerokiego kręgu odbiorców, nie obciążoną aparatem naukowym. W sprawach czysto teatrolologicznych poprosiliśmy o sugestię wydawcę-historyka teatru, który wręcz odradzał uszczęśliwianie czytelników przypisami. Aby jednak uniknąć nieporozumień Autor i wydawnictwo postanowili opatrzyć książkę postawami wyjaśniającym mniej obecnemu czytelnikowi problemy wydania. Początkowo zastana-

wialiśmy się nawet nad reprintowym wydaniem „Opowieści poligraficznej”, ale koszty poligraficzne, słaby technicznie oryginał, wprowadzenie przez Autora drobnych poprawek literowych, a także oferta Emila Orzechowskiego sporządzenia albumiku fotograficznego pozwala dezawuować tego pomysłu.

Odnosząc się do uwag recenzentki: czy rzeczywiście podany przykład błędu fotograficznego pozwala dezawuować taki typ edycji tekstu? Czy doprawdy w sposób aż tak zasadniczy zmienia on tezy Autora? Nie tylko opierając się na wiedzy faktograficznej. Cóż, nie z niechlujstwa, bez troski, braku uwagi, niefrasobliwości wypluwa zachowanie przez wydawcę, pisowni „Rasyna” i „koszlawy” i niepoprawienie „niezupelnie poprawnych” dwóch sformułowań, które przytacza recenzentka. Nie wdając się w szczegółowe wyjaśnienia, trze-

ba jednak stwierdzić, że była to kwestia podjęcia szeregu decyzji, a nie ich braku, np. żeby drukować zgodnie z wolą Autora, zachowywać jego osobliwości leksykalne i celowe archaizowanie tekstu. Ponadto wydawnictwo przeprowadziło bardzo starannie tzw. czytanie erratowe. Poza tymi trzema (zrzeczywiście śmieszniejszymi) literówkami wymienionymi przez recenzentkę znaleziono ich jeszcze osiem. Może trudno w to uwierzyć, ale to naprawdę niewiele w stosunku do objętości książki. Oczywiście, każdy wydawca marzy, by w jego książkach było jak najmniej literówek. Póki jednak zależy to od człowieka, a nie od maszyny i nie przekracza dopuszczalnych granic, nie bądźmy aż tak bezwzględni.

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Kraków, dn. 5 marca 1992 r.

OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI DLA MŁODZIEŻY SZKÓŁ PONADPODSTAWOWYCH

Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie nie publikowanych i nie nagrodzonych prac pod adresem:

Miejski Ośrodek Kultury, 10-030 Olśztyn, ulica Rodziewiczówny 3 (tel. 27-09-64) w terminie do dnia 29 marca 1992, z dopiskiem na kopercie „KONKURS LITERACKI”.

Trzy wiersze lub prozę należy nadesłać w trzech egzemplarzach maszynopisu podpisane godłem. Do utworów należy dołączyć kopertę opatrzoną tym samym godłem, zawierającą imię, nazwisko oraz dokładny adres autora.

- tematyka prac dowolna,
- w konkursie mogą wziąć udział uczniowie szkół średnich i studenci,
- przewidziane są nagrody o łącznej wartości 1.500.000 zł.

Organizator — Miejski Ośrodek Kultury w Olśztynie — nie zwraca prac nadesłanych na konkurs.

„Powrót do małych ojczyzn”

Z profesorem ANDRZEJEM VINCENZEM rozmawia Zbigniew Baran

● Panie Profesorze, czy pisarze mogą zbawiać świat?

— Czy to nie za dużo? I czy ten, kto ma takie zakusy nie popełnia grzechu pychy? Wiemy jak się kończyły w praktyce tego typu tęsknoty filozofów i pisarzy. Zbawiciel jest jeden, pisarz może być najwyżej głosem sumienia, duchowym rozjemcą — dobrym prorokiem.

● Czy takim właśnie prorokiem był Stanisław Vincenz?

— Nie wiem. Jednakże musiał posiadać jakiś wrodzony dar, skoro lgnęli do niego ludzie wszelkiej maści, narodowości, orientacji, profesji. Zdolny był wysłuchać każdego, od profesora Sorbony po chłopca ukraińskiego, czy francuskiego. Przypominam sobie z Francji, z tej wsi La Combe pod Grenoble, o której pisał Czesław Miłosz, że odwiedzali Ojca na rozmowy „o życiu” różni chłopcy, a także miejscowy murarz, analfabeta (sic), Hiszpan z pochodzenia, i szukali chyba mądrości...

● Wymowni są duchowi mistrzowie Pańskiego Ojca — Homer, Dante...

— Ojciec zakochany był w kilku siatkach, z którymi się nigdy nie rozstał. Myślę, że w Biblii (miał jej wiele wydań, po łacinie, po grecku, w „Wiedzi” i „Wiadomościach Literackich”), z Homera i Dantego brała się jego wiara, nie człowiek pomimo przeciwności i „ataków” wędruje do doskonałości — i powinien umieć odczytać boski wymiar własnego losu. To uchroniło Ojca przed totalitaryzmem. Ojciec miał sobie doskonale sprawę — i to w latach trzydziestych — jaką dialektyczną moc niesie ze sobą doktryna totalitaryzmu. W wydanym przez „Znak” „Dialogach z S. Vincenzem” przenikliwość Ojca i pełnia jego sarkazmu „obnażają” system, który rościł sobie prawa „opowiadania” „raj na ziemi”. W recenzji z książki opublikowanej w „Tygodniku Powszechnym”, Ojciec bał się „sonifikacji” tej Nudy, emanującej z „kaczków” i „politraków”. Autorem przywołanej, znanej cytatem z „Dialogów” było to raz jeszcze przytoczone w „Wiedzi” — pisał „Wojnę Sowiecką od świata i coś podobnego” — to trzeba się będzie „gram cukru, szukać „przymiana zelówek”, trze- czasu spędzać w ogonie — jeszcze trzeba będzie „nieśli nie zachwył, nie to a reżymu sowieckie- dla jakichś kaczków”.

● Pańskiego Ojca nie wielkie zainteresowały, sesje, księgi ku stworzył się swoisty krąg historyków przy biorą raz po raz „wyczerpaną” w „Wiedzi” księgę „Na wy-”. Ale przyszło to „Czym tłumaczyć tę stawalność Vincenza do „Wiedzi”?

— Jedną powieść, że Ojciec nie do swoich czasów. Słusznie „ruje, że dla współczesnych był „czny. Z wyjątkiem najw- mu przyjaciół, wszystkich ra- „ość jego stylu i „prowin- Krótki okres zaraz po wojnie dziesiąte były to czasy, kiedy intelektualistów odczuwała, „zach wojny rodzi się inny dla niego znajdować należy

— Mieszkać od wojny na Zachodzie mogłem w Szwajcarii, Francji i Niemczech doświadczyć pozytywnego wpływu, jaki wywiera przywiązanie do swojego regionu, dialektu, obyczajów. Niedobrze by było, gdyby w zjednoczonej Europie wszyscy jedli te same ser- ry i kielbasy, mówiąc już tylko o ga- stronomii. Kultura powinna stymulo- wać pewne procesy ekonomiczne i prze- ciwdziałać niebezpiecznej uniformizacji i spłaszczeniu potrzeb. Oczywiście w daleko trudniejszej sytuacji są narody byłego imperium sowieckiego, które muszą wpięć przez zwyciężkę sowiecką barbarzyzację i plebeizację. Będąc osta-

ciągle to nowe formy i środki wyrazu. Nie uniknął tej próby sam Czesław Miłosz, który dzielił się z moim Ojcem tymi dylematami, gdy bywał u nas w La Combe. Ojciec pozbawiony był po- parcia środowiska literackiego. Ton emigracyjnej prasy nadawały londyńskie „Wiadomości Literackie” „Gry- dzewskiego. Jerzy Giedroyc chętnie drukował eseje Ojca, bez wielkiego za- interesowania dla Wysokiej poloniny. Nawet rok 1956 nie stanowił przełomu w recepcji twórczości Stanisława Vin- cenza. Wprawdzie 1 tom *Poloniny* wy- dała ponownie z dużymi skrótami, ka- tolicka oficyna „Verbum” w Londynie, ale bez większego echa. Pamiętam, jak w tekście Jean Hersch o moim Ojcu, opublikowanym zaraz po jego śmierci w szwajcarskim dzienniku „Neue Zü- richte Zeitung” skreślono jedno zdanie: porównanie Vincenza do Homera — „niespieszny jak Homer”.

● Zdaje się, że dopiero teraz wzrasta świadomość obecności ma-łych ojczyzn: powrót do korzeni swoich przodków, renesans idei miast i regionów Europy.

tnio we Lwowie, w związku z inicjaty- wą powołania przez tamtejszych Ukra- ińców i Polaków *Towarzystwa im. Stanisława Vincenza*, zaobserwowałem pozytywny proces odzyskiwania utra- conej pamięci. Ku mojemu zdumieniu widziałem Huculów w ich wspaniałych strojach, śpiewających znane mi z dzie- ciństwa pieśni. To nie tylko tzw. fol- klor, a broń Boże jakaś „cepliada”, ale istotny, duchowy wysiłek odkrywa- nia przynależności do tradycji swojego regionu, języka, przyrody.

● Z drugiej strony, czy nie grozi nam eskalacja nacjonaliz- mów?

— Nie sędzę. Ludność na Ukrainie i Białorusi jest wymieszana, właściwie nigdy w historii nie było tam zdecy- dowanej dominacji jednej nacji. Pro- szę zwrócić chociażby uwagę na znane forteczne miasto dawnej Rzeczypospo- litej — Kamieniec, które zamieszkiwa- ne było prawie wprost proporcjonalnie przez Polaków, Ukraińców, Żydów i Tatarów. Akurat w czasie podróży na- tknąłem się na młodego człowieka z Kamieńca. I on zaczął mi opowiadać,

wszej kolejności określali się jako mie- szkańcy Krymu. Żalował, że Gorba- czow w swojej walce z alkoholizmem kazał zniszczyć na Krymie winną latorośl, której tradycje uprawy się- gają 500 lat przed narodzeniem Chry- stusa. Istnieje więc przywiązanie do miejsca, w którym się człowiek uro- dził, chwalebny patriotyzm lokalny. To samo dotyczy zachodnich ziem pol- skich. Czyż nie jest fenomenem, że w niemieckim mieście, jakim był Wro- cław, reaktywuje się kulturę przedwo- jennych kresów II Rzeczypospolitej i następuje tutaj renesans duchowości ukraińskiej? Ale to nie znaczy, aby Niemcy nie posiadali kulturowych praw do Wrocławia, czy innych miast dawnych wschodnich Niemiec. I do- brze, że się we Wrocławiu o tym my- śli. Należy też docenić wszystkie gesty dobrej woli ze strony Niemców, które służą renowacji niemieckiej i niemie- ckiej substancji tych miast. Wątpię przecież, aby chcieli się tutaj ponow- nie osiedlić.

● Jakie dostrzegalby Pan Pro- fesor nasze szanse w tzw. misji na Wschodzie? Czy z perspektywy Niemiec, gdzie jest Pan profes- rem slawistyki, widać sensowność polskich poczynań?

— Przykro o tym mówić, ale Pola- cy zachowują się niekiedy tak, jakby ignorowali — cenną również dla Eu- ropy — federalistyczną tradycję Rze- czypospolitej wielu narodów. Kunkta- torstwo nie sprzyja absolutnie praw- dziwemu zbliżeniu. Być może jestem nazbyt surowy w ocenie polskich po- lityków. Chciałbym jedynie przestrzec przed powtórzeniem fatalnej w skut- kach polityki narodowościowej II Rze- czypospolitej. To, że nie udało się wy- pracować mądrej polityki wobec mniejszości narodowych, właściwie je- szcze gorzej, bo żadnej, zemściło się srogo w czasie II wojny światowej. Zalecałbym szlachetny snobizm ucze- nia się: litewskiego, ukraińskiego i bia- łoruskiego. Nie znając litewskiego nau- czyłem się przynajmniej jednego zda- nia „de givoje Lietuva”. Nawet tak niewiele pomogło przełamać pierwsze lody.

● Dziękuję serdecznie za roz- mowę.

Kraków, wrzesień — grudzień 1991



Rys. ALEKSANDER PIENIEK

— To piękne co Pan mówi, ale umy- kają nam wielokrotnie rzeczy zupełnie proste i oczywiste. Dla Homera prze- cież miejscem-universum była Itaka, mało znacząca wysepka na Półwyspie Jońskim. To samo odnosi się do Mic- kiewicza, który podniósł w „Panu Tu- deuszu” na wysokość mitu powiat no- wogródzki — Soplicową ojczyznę, do której nieustannie powracał w swej literackiej Odysei.

● Jest Pan Profesor człowie- kiem pogranicza wielu kultur, obeznanym z literaturą i języka- mi Europy Środkowo-Wschodniej. Jak zatem, zdaniem Pana, miałyby się wypełniać realną treścią Vin- cenzowska wizja małych ojczyzn?

— Mieszkać od wojny na Zachodzie mogłem w Szwajcarii, Francji i Niemczech doświadczyć pozytywnego wpływu, jaki wywiera przywiązanie do swojego regionu, dialektu, obyczajów. Niedobrze by było, gdyby w zjednoczonej Europie wszyscy jedli te same se- ry i kielbasy, mówiąc już tylko o ga- stronomii. Kultura powinna stymulo- wać pewne procesy ekonomiczne i prze- ciwdziałać niebezpiecznej uniformizacji i spłaszczeniu potrzeb. Oczywiście w daleko trudniejszej sytuacji są narody byłego imperium sowieckiego, które muszą wpięć przez zwyciężkę sowiecką barbarzyzację i plebeizację. Będąc osta-

że stworzyli tam kościół katolicki, że restaurują znany wszystkim Polakom zamek. Podkreślił samorzutnie, że byli tam zawsze Ukraińcy i Polacy, Ormia- nie i Żydzi. A wracając, spotkałem w pociągu młodych Rosjan z Krymu, studiujących w Moskwie. I oni w pier-

ostatnio w Dworku Łowczego, siedzibie SIW Znak powiało duchem Stanisława Vincenza. Tutaj w grudniu ubiegłego roku — po uroczystym złożeniu prochów Ireny i Stanisława Vincenzów na cmen- tarzu Salwatorskim — odbyła się symboliczna stypa połączona ze spotkaniem przyjaciół autora *Na wy- sokiej poloninie*. 22 lutego nato- miast w tymże samym dworze wrę- czono jubileuszową, dziesiątą nagro- dę im. Stanisława Vincenza HE- NRYKOWI GRYNBERGOWI. Na- groda, ufundowana przez żonę pi- sarza oraz syna, prof. Andrzeja Vincenza, służy nobilitacji literatu- ry zbitej z Vincenzowskim wzor- em tolerancji i miłości do drugie- go człowieka, głoszącej pochwałę kulturowej różnorodności i odmien- ności.

Laureat, HENRYK GRYNBERG, który opuścił Polskę po roku 1968, przybył na uroczystość specjalnie z Ameryki, podkreślając, że spośród licznych otrzymanych nagród tę właśnie cenił sobie najwyżej. W swo- jej przejmującej mowie ułożonej w formie modlitwy, dał zresztą świadectwo duchowych więzów łączą- cych go z postacią Stanisława Vin- cenza. Miejmy nadzieję, że temu ra- czej mało znanemu u nas pisarzowi, nagroda St. Vincenza pomoże prze- bić się do szerszej świadomości czy- telników. Warto byłoby przy tej okazji wznowić wydaną przed kilku laty przez oficynę „Znak” znakomi- tą książkę Grynberga *Kadisz*.

(zb)

„Miłość jest wszystkim, co istnieje”

Wybór z wyboru trzystu arcydzieł angielskiej i amerykańskiej liryki miłosnej (w druku w Wydawnictwie a5)

w przekładach STANISŁAWA BARAŃCZAKA

z cyklu IV: ZACHLANNE ZACHWYTY

Charles D'Orléans (XV w.)

USTA TWE UŚMIECHNIĘTE I OCZĘTA SZARE

Usta twe uśmiechnięte i oczęta szare,
 Ramiona twoje smukłe, krągłą pierś oboję,
 Dłoń gładką, drobną stopę, wszystką postać twoją —
 Czczę, bo mi dają miłość, nadzieję i wiarę.
 Czy za morze odpłyniesz, czyś jest o mil parę —
 Wspominając twe wdzięki, ból serdeczny koję:
 Usta twe uśmiechnięte i oczęta szare,
 Ramiona twoje smukłe, krągłą pierś oboję.
 Bądź przeto miłosierna na swą boską miarę,
 Ukaż mi się, gdy w smętnym opuszczeniu stoję,
 Ukaż to, czym chcę żywić wspomnienie moje
 Aż po dzień, gdy śmierć w sercu zasunie kotarę:
 Usta twe uśmiechnięte i oczęta szare,
 Ramiona twoje smukłe, krągłą pierś oboję.

z cyklu VI: KUNSZTOWNE KOMPLEMENTY

Richard Lovelace (XVII w.)

RĘKAWICZKA ELINDY

Snieżna Zagrodo, z pięciu Budynków złożona!
 Powtórz swej białej Pani, żem wizytę
 Złożył, jak co dzień, by wpłacić Czynsz; ona
 Zbiera gdzieś pewnie Kwiaty i Serca Podbite,
 Gdyż opuściła twoją przytulną orbitę.

Lecz nie smuć się, Folwarku mój Gronostajowy: —
 Alabastrowa Dziedziczka wnet wróci;
 A zresztą, jakże się Najemca nowy
 Wciśnie w twe wąskie Sienie, jak się w nich obróci?
 Bezmyślność, co go zwabi, za próg go wyrzuci.

Czynsz mój — pięć pocałunków — na pięć progów złożę:
 Tego wszak prawa nikt mi nie odbierał:
 Jeśli Sługa bezcenną Lutnię zniszczyć może,
 Pan nie pozwala, aby prostak przy niej gmerał,
 Lecz wolno mu przynajmniej do rąk wziąć futerał.

z cyklu V: SPIEWNE ŚLUBOWANIA

William Wordsworth (XVIII—XIX w.)

SAMOTNA ŻNIWIARKA

Spójrz — tam — na polu pośród zboża
 Samotne dziewczę z górskich stron!
 Stań, lub przejdź cicho — niechaj, hoża,
 Śpiewa, zbierając plon!
 Gdy nad użądkiem się pochyla,
 W snopy go wiążąc, głos co chwila
 Rozbrzmiewa — słuchaj! — i znów płyną
 Tęskne melodie nad doliną.

Nie zazna śpiewnej tej słodyczy
 Słuch Beduina w skwarny dzień,
 Gdy mu w pustyni śpiew słowicy
 Zwiastuje oaz cień:
 Kukułka fraza przenikliwa
 Powietrza wiosny nie przesywa
 Jak ta pieśń, brzmiąca spośród zbóż
 Hebrydom nad milczeniem mórz.

O czym tak śpiewa — czy się dowiem?
 Może ten melodyjny żal
 Lśni dawnych glorii złotogłowiem,
 Dzwoni w nim bitew stal?
 A może głoszą piosnki słowa
 Treść prostszą — kęś się, wciąż nowa,
 Chociaż ta sama: entki: czy
 Ból zwykłych ludzkich trosk i strat?

Cokolwiek znaczył śpiew, w piosence
 Jak gdyby przestał płynąć czas;
 Dziewczę nuciło, z sierpem w ręce
 Klania się zbożom w pas,
 I stałem jak zaczarowany;
 A gdym znów ruszył poprzez lany,
 W sercu trwał spokój szkockich wzgórz
 I śpiew, co dawno umilkł już.

Anglojęzyczne haiku zaczęło owocować w Ameryce w latach pięćdziesiątych. Wyrosło ono na gruncie wzmożonych kontaktów z okupowaną Japonią, na fascynacji jej sztuką, filozofią, religią i literaturą. Kilkanaście lat później, w roku 1968, powstało w Nowym Jorku The Haiku Society of America skupiające poetów, tłumaczy, teoretyków i sympatyków haiku działających w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Liczące obecnie około 600 członków towarzystwo stawia sobie za cel promocję praktyki i teorii haiku w języku angielskim, a czyni to poprzez otwarte wykłady, dyskusje, warsztaty, spotkania autorskie, konkursy i publikacje. Oficjalnym organem H.S.A. jest kwartalnik „Frogpond”. Prezentowani niżej poeci należą do bardziej aktywnych uczestników ruchu. (A. S.)

LEE GURGA

Samochody wędkarzy
 zaparkowane wzdłuż drogi...
 zimny deszcz

obiad przy świecach —
 jego palec z wolna krąży
 wokół brzegu kieliszka

LEROY KANTERMAN

Zacumowany na palach,
 rdzewiejący prom
 płynie z porannym pływem...

FORSTER JEWELL

Zbliżając się do góry
 wczoraj, i jeszcze dzisiaj...
 jutro.

Jakiś nieznaną dźwięk...
 spojrzenie za siebie —
 spojrzenie wokół.

JULIA RANKIN KING

Od gór — grzmot...
 wietrzyk podnosi gałęzie
 pozwala im opaść

COR VAN DEN HEUVEL

wysoko nad miastem
 sygnał świtu
 z wiadra czyściciela szyb

CLEMENT HOYT

Włosy między zębami grzebienia,
 kolor jesiennego wiatru —
 cały ten dzień jest szary.

W tym pustym domu
 hałas rozbitych okiennic —
 trzaskanie drzewi.

ELIZABETH S. LAMB

Zachwaszczone pastwisko:
 szpon zdechłej sowy zaciśnięty
 na jakimś badylu

ehmara
 wrzaskliwych kosów w ulwie
 złotych liści

DAVID LLOYD

Mokry śnieg
 W świetle księżycy w otworach
 Mojej harmonijki

U podnóża
 Skalistego zbocza góry
 Stos kamyczków

MICHAEL McCLINTOCK

wplatając się w ląd,
 morską mgłą przysiadła na trótko
 na jabloniach

długi dzień...
 byk mego sąsiada
 znowu zajęty

ALAN PIZZARELLA

nie do pisania
 dziś wieczór
 tylko to

iskra
 pada na ziemię
 ciemnieje
 już

ROBERT SPIESS

Suchy, letni dzień;
 kredowobiała siewka młczy
 na skale w środku rzeki

Kryta papką chata
 za białą brzozą rzeki
 — skacze szczupak

Przełożył: Andrzej Szuba

Pochwała wygnania

(C.D. ZE STR. 1)

zna też uznać, że wygnanie to dla ludzkości ogromna szansa, którą wykorzystać trzeba na drodze powrotnej do Ojca. Taka wiara dominuje w głównych nurtach cywilizacji judeo-chrześcijańskiej. Totalna pogarda dla materii, ciała i wartości ziemskich była w historii chrześcijaństwa zjawiskiem marginesowym. To, co główne w chrześcijańskiej postawie wobec życia można by ująć tak oto: żyjemy na wygnaniu i nigdy nie wolno nam o tym zapomnieć, stąd wszelkie doczesne dobra i cele muszą uchodzić za względne i wtórne, są one jednak realne i naszym naturalnym obowiązkiem jest korzystanie z nich; Natura jest przeciwnikiem, którego należy podbić, nie zaś odepchnąć.

Zalóżmy, że mają rację teologowie mówiąc, iż nasi przodkowie w Edenie poznaliby cielesną miłość i wydali na świat potomstwo nawet gdyby oparli się pokusie i pozostali w stanie błogosławionej niewiedzy o sprawach Dobra i Zła. Ale wtedy nigdy nie mogliby dać początku ludzkości takiej, jaką znamy: ludzkości zdolnej do tworzenia.

To właśnie owa felix culpa i następujące po niej wygnanie razem z jego cierpieniem i zagrożeniami wyrwały ludzi ze stanu niebiańskiego spokoju i postawiły w obliczu zła, niebezpieczeństw, walki i bólu, tworząc w ten sposób niezbędne warunki ludzkiego bytowania. Twórczość powstała z niepewności, z jakiegoś rodzaju wygnania, z doświadczenia bezdomności.

Filozofia może negować fakt wygnania, albo — jak woleliby chrześcijanie — zatajać go przed nami: tak za zwyczaj czynili wyznawcy empiryzmu, naturalizmu, materializmu i scjentyzmu. Filozofia może też zaakceptować ten fakt i podjąć próbę odnalezienia drogi powrotu do ostatecznego pojednania człowieka z bytem — takie jest podejście Heglowskie. Ale może też uznać fakt nie wierząc przy tym, iż można zmienić nasz los; jesteśmy wówczas skazani na nieustanną tęsknotę za nie istniejącym rajem; filozofii egzystencjalnej w naszym stuleciu udało się najlepiej wyrazić tego rodzaju posępną wizję — gorzkie pokłosie Oświecenia.

Chrześcijańskie pojęcie pierwotnego wygnania można poszerzyć i objąć nim wygnanie drugie, to znaczy wygnanie z wygnania, a także trzecie i czwarte. (Można na przy-

kład twierdzić, że Spinoza był poczwórnym wygnanym: wyklęto go ze społeczności żydowskiej, która osiedliła się w Amsterdamie po wydaleniu jej z Portugalii, gdzie przebywali po wygnaniu z Erec, wyznaczonym im przez Boga po wygnaniu z Edenu).

Wygnanie można postrzeżyć jako nieszczęście lub jako wyzwanie, może być źródłem desperacji albo bolesną zachętą.

Możemy posługiwać się obcym językiem dlatego, że jesteśmy do tego zmuszeni, albo starać się dostrzec w nim lingwistyczne skarby, istniejące tylko tam, nie dające się przetłumaczyć; w ten sposób możemy wzbogacać swój umysł, a nie tylko techniczne zdolności do porozumiewania się. Możemy konfrontować nasz punkt widzenia przybysza z punktem widzenia tubylców i w ten sposób zasilać ferment umysłowy, który często okazuje się twórczy i korzystny dla obu stron. Pełno na to przykładów we współczesnej historii. Nie jest mi znane żadne dzieło badające rolę, jaką w dziejach Europy odegrały w kulturze różne formy emigracji, indywidualnej i zbiorowej.

Jednak nie ma wątpliwości, że bez tych wszystkich, religijnych czy politycznych względami sprawionych wygnań i samowygnań, bez tych uciekinierów i emigrantów życie intelektualne i artystyczne Europy byłoby całkiem inne.

Przykładami są hugenoci w Anglii i Holandii; włoscy radykałowie religijni i unitariusze szukający schronienia w (bardzo wówczas tolerancyjnej) Polsce drugiej połowy XV wieku; polscy unitarianie w zachodniej Europie w drugiej połowie XVII wieku, inicjatorzy wczesnego Oświecenia; Żydzi wypędzeni z krajów iberyjskich; uciekinierzy ze Środkowej i Wschodniej Europy pod władzą komunistyczną. Wszyscy oni wnieśli wkład, niekiedy bardzo znaczący, w cywilizację przyjmujących ich krajów, jeśli nawet nieraz witano ich nie całkiem przyjaźnie i traktowano podejrzliwie. Emigranci z Trzeciej Rzeszy wywarli ogromny wpływ na amerykańskie życie intelektualne. Niektórzy powiadają, że był to wpływ złowrogi, lecz któż zna bilans ostateczny?

Chcemy tego, czy nie, musimy przyjąć do wiadomości fakt, że żyjemy w

epoce uchodźców, emigrantów, nomadów i obywateli, przedzierających kontynenty i krzepiących swoje serca myślą o swych duchowych czy etnicznych, niebiańskich czy ziemskich, prawdziwych czy wymagowanych — ojczyznach.

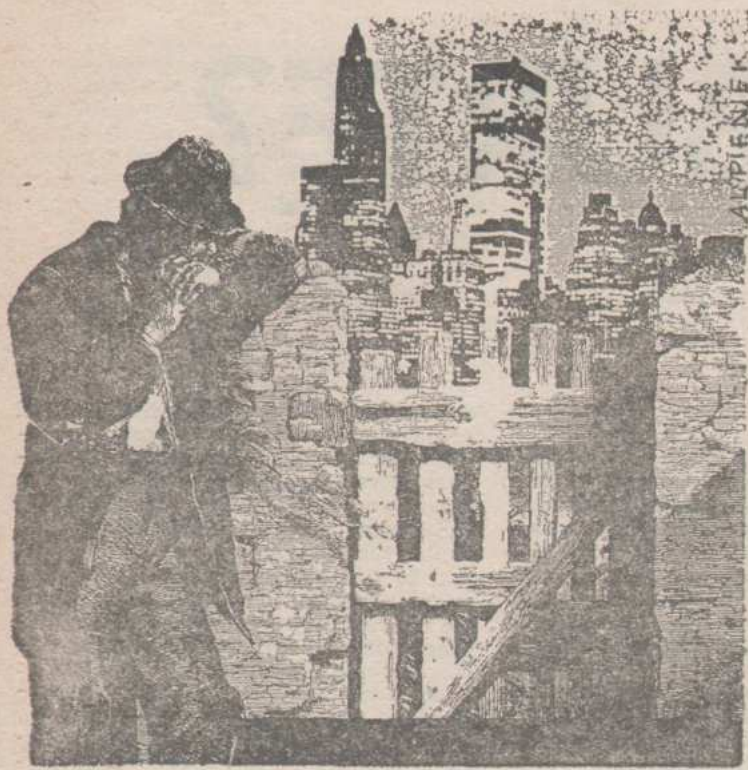
Zupełna bezdomność jest nie do zniesienia — zagroziłaby podstawom ludzkiej egzystencji. Czy możliwy jest doskonały kosmopolityzm? Diogenes Laertios pisze, iż Anaksagoras zapytany o to, czy naprawdę nie obchodzi go jego ojczyzna, odpowiedział, że obchodzi go jak najbardziej i wskazał na niebo. Niektórzy i dziś podobne rzeczy mówią: utrzymują, że nie interesuje ich plemię, w którym się urodzili, ani żadnej wobec niego nie mają lojalności; wolno powątpiewać, czy takie oznajmienia czynione są w dobrej wierze.

Obok ludzi, co uciekli przed tyranią lub zostali wypędzeni ze swych krajów, istnieją całe narody, gdzie ludzie nie opuszczają rodzinnej ziemi, zostali odarci z prawa obywatelstwa we własnej ojczyźnie,

pozostając jednak obywatelami państwa, ponieważ ich kraj znalazł się pod obcym panowaniem. Taki jest los — miejmy nadzieję, że przejściowy — narodów Środkowej i Wschodniej Europy. Rozdarcie między państwem, które w odczuciu obywateli nie jest ich własne, choć się mieni ich właścicielem, a ojczyznę, której strzec by chcieli, nadało im dwuznaczny status półwygnańców. Pozbawione suwerenności państwo usiłuje ograbić ludzi z historycznej pamięci, fałszując ją i zniekształcając stosownie do aktualnych wymogów politycznych. A pamięć zbiorowa to ojczyzna. Jeśli jedna część Europy, została tak wykorzystana, czego może spodziewać się druga część? Czy cały świat zostanie skazany na wewnętrzne półwygnanie? Czy Bóg chce nam przypomnieć, w sposób dość brutalny, że wygnanie jest na trwałe częścią ludzkiej kondycji? Nielitościwe przypomnienie, choćby zasłużone.

1985
Przełożyli z angielskiego: PIOTR MRÓZ, BEATA SZYMAŃSKA; tekst przekładu zmodyfikowany przez Autora. Pierwodruk: „Times Literary Supplement”, 1985, 11 October.

Leszek
Kożakowski



Rys. ALEKSANDER PIENIEK

Henryk Grynberg

Mała improwizacja

Wykradłem się o srebrnym świecie
gdy srebrną owinięty rzeką
spal jeszcze zamek
a biała gwardia łabędzi
szyje wyprostowane
patrolowała brzegi
jego snu
lecz pracowite kaczki
już międlily powietrze
a szare stada mew
zataczały już koła
codziennej gonitwy
za powszednim chlebem

słońce jeszcze niepewne
mrużyło zaspane powieki
więc do woli lykalem
perlister powietrze z lodem
bezpłatne i niestrzeżone

dzięki Ci Panie poranków
za przypadek który mnie rzucił w te strony
i za ranek któryś mi rzucił
ze szczodrego stołu
szepiałem idąc w zachwycie
wysokim brzegiem
gdzie przechadzał się kiedyś oddech
chasydzkiego Boga

a wtedy diabeł
najwierniejszy towarzysz
co nigdy mnie nie opuszcza na długo
wyszczerył z afisza czarne zęby liter
i AUSCHWITZ, AUSCHWITZ zasyczał
every day tour po angielsku dodał
includes BIRKENAU
rezerwacja miejsc nie jest konieczna

zamek wyniośle milczał
niewzruszone jego wieczne mury
tylko mewy zaskrzeczały nerwowo
rzeka zabrała ze sobą
nieskazitelne łabędzie poranka
jaki rzadko się zdarza
a kaczki odleciały same

bo wykradłem się tylko na chwilę
i jak zwykle mnie znowu pochwylił
ten stary i niezawodny
manichejski skurwysyn

Kraków, 22 lutego 1992

KOGO ZA BURTE?

Jerzy Pachlowski

Zyjemy pozbawieni słońca, przestrzeni horyzontu. Zyjemy — bez oddechu wiatru. Bez nieba i gwiazd.

Sztorm od Antarktydy przez dwa tygodnie uderzał w naszą burzę. Nagle wiatr zmienił kierunek i zaciął. Wraz z martwą falą, wysoką i długą, jak zimna śmierć podeszła do nas mgła.

Statek trzeszczy od gwałtownych przechyłów w zimnym mroku mgły. Od wielu dni nie możemy dopłynąć do słonecznego nieba i przestrzeni morskich horyzontu. Mgła... Mglica... Mrok na zewnątrz i w środku człowieka. Zaryglowany na trzy spusty statek. Zaryglowany na trzy spusty statek. Zaryglowany na trzy spusty statek. Zaryglowany na trzy spusty statek. Zaryglowany na trzy spusty statek.

Tam, na górze, w sterówce, uzbrojeni w najnowocześniejszą technikę z łodzi podwodnych do wykrywania ryb i tam, na stojących dęba od uderzeń dziewiątej fali pokładzie łowczym wydają sieci do morza, trałują, wyciągają rybę na burzę. Zaciąg po zaciągu. Stosy ryb na pokładzie, które w wnętrzu statku jak w brzuchu wieloryba nie może podać pracująca na najwyższych obrotach maszynaria przetwórci i pracującej przy jej obsłudze na najwyższych obrotach człowiek. Stupieńdziesiąciometrowy wózek o rozwartej czterdziestometrowej gardzieli wyciąga z kotłującego morza połów za połowem. Oba zbiorniki ze złowioną rybą są nieustannie wypełniane po brzegi. Między jednym a drugim holem, mimo wysiłku, nie jesteśmy w stanie do końca opróżnić zbiorników. Znowu nowa ryba na pokładzie. Po zamarym sztormie, który nacierał na nas od Antarktydy posztormowa, martwa fala, wysoka i długa wraz z mgłą przyniosła rybę. Ledwie część mieści się w nieustannie opróżnianych zbiornikach, a reszta spiętrza się na pokładzie łowczym. Całe stosy i góry ryb. Aby wybrać sieć z morza i wypuścić ją do morza, część ryby musi zostać splukana za burzę. Część zostaje zgnieciona przez uzbrojony wózek i buciorami walczącymi z siecią i morzem rybaków pokładowych. Obawa, że za chwilę zabraknie ryby na łowisku, której potem trzeba szukać całymi tygodniami, zmusza do ciągłego wyławiania sieci za burzę.

Zelazna klatka kabiny w dziobowej części statku. Gnieździ się w niej jak szczyry. Z moim współtowarzyszem dotykamy się sennymi ruchami rąk nawet we śnie.

— Jak ta brudna szklanka znowu znajdzie się na mojej połowie stolika, rozbiję na twoim łbie — dyszy do mnie z białą nienawiścią w oczach mój współmieszkaniec.

Stolik niewiele większy od chustki do nosa. Jak się tu upilnować.

— Ty chwieju niedorobiony! Ty ciu... — bluzgam myślami, które kipią we mnie, ale na zewnątrz jestem spokojny jak puls nieboszczyka.

Tam na górze, na mostku nawigacyjnym i na pokładzie łowczym spierają się z morzem, a my załoga przetwórci na co dzień obchodzimy się bez widoku oceanu. Jak Jonasz w brzuchu wieloryba, tak my żyjemy zamknięci w dusznym i smrodliwym wnętrzu statku. Tak jak on jesteśmy zdani na siebie i na boże miłosierdzie.

My z przetwórci — nie znamy zapachu i ożywej siły oceanu w swoich płucach, chociaż pływamy po oceanicznych przestrzeniach. Pewnie jed-

nak, na swój sposób mocniej niż tamci z pokładu łowczego, czujemy na sobie brzemień morza. My musimy poddać obróbcę złowioną rybę, zamrozić ją na kość w szafach zamrażalniczych, ułożyć w kartonach i w trzaskających mrozem ładowniach. Zyjemy pozbawieni słońca, przestrzeni horyzontu. Zyjemy — bez oddechu wiatru. Bez nieba i gwiazd.

My z przetwórci czujemy ocean jedynie w sobie poprzez grubość wibrującej i jęczącej od przechyłów burty. Poprzez narastający w nas zmęczeniu dotykany i niedotykany ciężar morza. Nie widzimy także mgły, ale czujemy ją, aż w szpiku kostnym i w naszych, coraz bardziej napinających się nerwach.

Kurwa kataryna, jak ja cię nienawidzę. Z takim muszę w jednej kabini. Nawet w nocy nie zostawi mnie w spokoju, bo przez sen gada... A jeszcze raz kiedyś zechce ci się świeżego morską powietrza...

Tłuką się myśli w mojej głowie, obijają się o siebie, jak ja się obijam przy każdym ostrzejszym przechyle, o krawędzie burty i krawędzie martwych przedmiotów umocowanych na stałe. Każdy w końcu rejs staje się przeznaczeniem także przez mój wybór. Poprzez zgodę wyrażoną na niego. Mogłem się przecież nie zgodzić. Pewnie bym się nie zgodził, gdybym umiał przewidywać. Podjąłem ryzyko na własną odpowiedzialność. Zgodziłem się, a więc dokonałem wyboru swego przeznaczenia. Jeśli w rejsie załoga się nie dopasuje, nie dopasujesz się z tym, z którym musisz dzielić kabinę. Wtedy plyniesz do piekiel. Do piekiel nienawiści, które znajdują się na samym dnie czartowskiego piekiel. Jeśli się zarazisz nienawiścią to pochłonie cię piekiel.

— Wielki łapacz! Palanty od suchej dupy! — bluzgają nienawiścią do kapitana i jego nawigacyjnych pomagie-

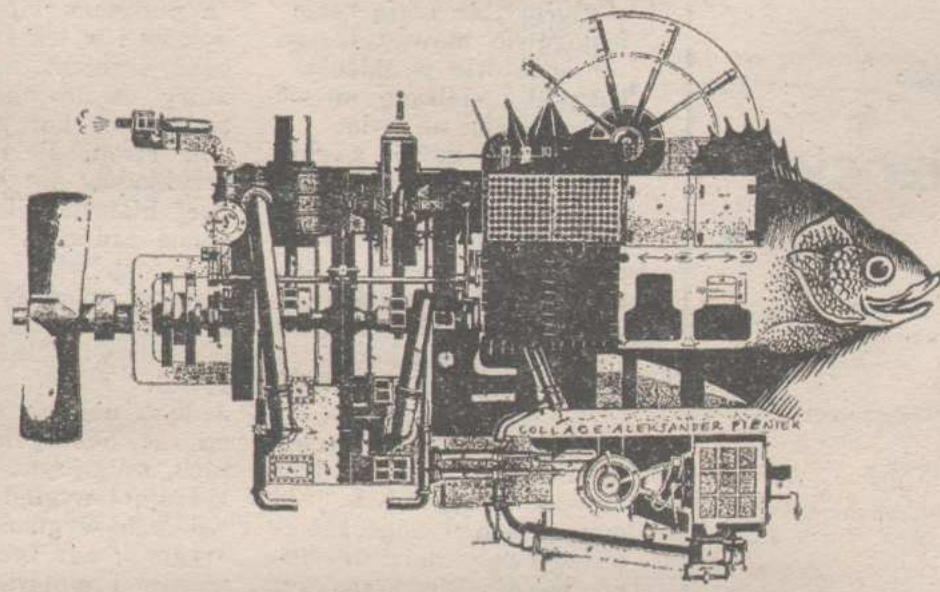
z każdej ludzkiej osobowości, teraz i przed wiekami trwa ponad nami, i oddziałuje na nas. Mieni się kalejdoskopem barw, jasnością i świetlistością. Albo auryczne obłoki tracą swoją świetlistość i barwy. Stają się ciężkie, mętne i trujące dla człowieka. A jeśli tak, to ileż trucizn i z jakimi skutkami dla każdego z nas gromadzi w sobie niewidoczny obłok auryczny gromadzący się nad krzyżami masztów naszego statku, wzmacniany dymem z mielonego na mączkę rybną życia wyrwanego z głębi oceanu.

Jesteśmy więźniami statku więzionego w pogoni nieustannej za rybą. Współwięźniami w żelaznej klatce szczyrowej celi, jaką jest nasza kabina. Więźniami nienawiści bez opamiętania. Staram się jej nie ulegać, ale czuję, jak w odpowiedzi na nią pełni się we mnie poczucie dusznego obrzydzenia. Żyję w więzieniu obrzydzenia, jak tamten żyje w więzieniu swojej nienawiści. Jestem uwięziony w jego nienawiści i w swoim obrzydzeniu. Jak wyjść, jak uwolnić się z labiryntu. Jak uciec z wiecznie uwięzionego w pogoni za rybą statku. Jak uciec z żelaznej klatki swojej kabiny. Jak uciec z więzienia cudzej do siebie nienawiści, którą obdarza cię twój bliźni. Jak wydostać się z osaczającego kręgu i na nienawiść nie odpowiadać nienawiścią. Zatrząskuję się w sobie. Zapadam. Redukuję do minimum swoją obecność. Chowam się ściśle w swoim środku, żeby jak najmniej istnieć na zewnątrz. Przecież wszystko to, co przeżywam teraz, na środku morza, we wnętrzu zaryglowanego statku, jak Jonasz w brzuchu wieloryba, jest tylko koszmarnym snem, z którego otrząsnę się całkowicie i nieodwołalnie, jak tylko mój statek dopłynie do brzegu. A może rzeczywiście jestem Jonaszem, który przez zamierzoną ucieczkę na morze, na przeciwny koniec świata, chce się uwolnić od powierzzonego obowiązku zakotwiczonego w moim dniu powszednie tam, na brzegu. Uwolnić się od samego siebie i swojego osobistego świata, który pozostawiłem na lądzie. Tu na krawędzi oceanu zamiast się odnaleźć, pogubiłem i poplątałem się jeszcze bardziej. Uciekle, zamiast rozplatać cierpliwie zaplątane tam na brzegu sprawy dnia powszedniego. A może to konieczna pokuta, którą trzeba przeżyć, by móc uzyskać wybaczenie. A może wiele z tego, co przeżywamy ma swój ukryty sens. Nie umiemy go tylko odczytać. Nie umiemy odczytać tej możliwości, tej szansy, która jest nam ofiarowana.

Mój współmieszkaniec nienawidzi mnie nawet w ciężkich snach, w których boryka się z nie uładowanymi sprawami swojego życia, spychany do studni podświadomości. Przewracając się na swojej koi z boku na bok, skarży się sennym mamrotaniem ni to we śnie, ni to na jawie.

— Kurwa kataryna. Z takim do końca rejsu, chyba, że za burzę...

Z dusznego snu budzi mnie mamrotliwa, senna skarga. Wsluchuję się w nią wybity z płytkiego snu i usiłuję dociekać. A właściwie to o co między nami poszło. Czy to, co się wydarzyło było powodem, czy tylko pretekstem do nienawiści. Jednej nocy wróciłem z wachty, z ładowni trzaskającej siarczystym mrozem, w której szalowałem kartony z zamrożoną rybą. Spiesznym krokiem przemierzałem korytarz, by czym prędzej czmychnąć przed pelzającym smrodem rozkładającej się ryby. Pelzający za mną smród wtargnął wraz ze mną do kabiny. Należał się na zleżały, spleśniały odór nie wietrzony żelaznej klatki, połączony z kwaśnym zapachem męskiego potu. Szarpnęło moimi wnętrznościami. Rzuciłem się do zakręconego na glucho bulaja. Chciałem wychylić głowę w kierunku morza. Nim zdążyłem zaczerpnąć powietrza zaczęło mnie rwać, wydawało się, że razem z wnętrznościami. Od czasu do czasu ubryzgały mi w twarz rozhuśtane fale. Dławiłem się swoimi flakami i wchłanianym czystym powietrzem. Kiedy się to wszystko skończyło nie musiałem się nawet myć, tak byłem obmyty do czysta słoną wodą. Orzeźwił



Collage ALEKSANDER PIENIEK

Jeszcze raz odrubujesz bulaj... Do morza zepchnę. Będę szedł za tobą jak cień. Upoluję, kiedy dusza zapagnie nalykać się świeżego powietrza i staniesz nocą przy otwartej burcie. Będę szedł za tobą jak cień i doczekam się tej chwili. Twoje własne kapcie zastąpią ci garstkę ziemi na pochówek. Do morza je za tobą wrzuce, żeby ani ducha, ani kapci po tobie nie zostało.

Jeszcze chwila, a wydamy mi się, że odkręcę na glucho zakręcone przez tego pokurcza bulaj, chwycę tę cuchnącą pokrakę za kark, wsadzę jej łeb w okrągłą przestrzeń nareszcie otwartego bulaja i z całą furją, jaka się we mnie kotłuje, wypcham, wykopię tego chwieja za burzę do morza. Wtedy odetchnę rześkim morską powietrzem w tej kabini prześmierdziej ciężkimi smrodami rybiej śmierci i nie kapanego wiatrem i przestrzeni człowieka. Pozostawię otwarty bulaj, niech razem z rześkim i ożywczym oddechem oceanu leca do kabiny bryzgi martwej fali uderzającej w burzę statku, by usunęły ciężkie powietrze nienawiści, którym nasiakali nie tylko ludzie, ale ściany i przedmioty. Nareszcie samotny i wolny usiądę na własnej koi przy tym stoliku nie większym od męskiej chusteczki do nosa. Spokojnie zaciągnę się dymem papierosa i powietrzem uwolnionym od smrodu nienawiści.

...Ale to są tylko takie kotłujące się myśli. Całym wysiłkiem woli i z pokorą odkręcę wentyl balonu, który jest rozdęty własnym urażonym ja. Balon gwałtownie zmniejsza objętość, kurczy się do nic nie znaczącego fiaczka. W odpowiedzi na ten nagły atak wychodzę z kabiny, by w jakimś kącie wolnym od spojrzeń ludzkich zaciągnąć się uspokajającym na chwilę papierosem.

rów na mostku kapitańskim rybaczy pokładowi, którzy ciężarem uzbrojonej sieci i własnymi buciorami rozgniatają jeszcze drgające życie dopiero co wynagane z głębin morskich.

Zaciąg po zaciągu. Hol po holu. Do morza splukuje się złowionego przed kilkunastu godzinami ostroboka. A wszystko po to, by na tę chwilę, kiedy znowu zacznie się beznadnie wyciągać z morza puste sieci nie zabrakło do produkcyjnej obróbki łowionego na zapas drgającego życia. Jeszcze pełnego urody, bo nie skażonego przerażeniem śmierci. Wyciąganego z głębin morskich w obcy żywioł powietrza.

Coraz mniej w sieci pięknego, dorodnego ostroboka dużego na męski łokieć, który już albo wyłowiony, albo resztki ławic sprytnie umykają przed dziobem niszczyciela. Natomiast coraz więcej wpada do sieci zwinnego żgaja, nie wyrośniętego jeszcze ostroboczka srebrnym trzepoczącego na pokładzie. Jeszcze nie dorósł. Jeszcze nie spełnił swojej życiowej misji. Nie wzbogacił życia oceanu o nowe pokolenie. To trzepoczące gibkie życie, jeśli nie zostanie rozdeptane na pokładzie, za chwilę, jako niewymiarowa, a więc nikomu niepotrzebna ryba, zmieni się w mączkarni w dym snujący się nad statkiem i w szarzielony proszek zwany mączką rybną.

Zaciąg po zaciągu. Hol za holem. Na okrągło całą dobe. Gestym białym dymem dymi mączkarnia. Ale ani człowiek, ani urządzenia przetwórci nie mogą podoleć tej ilości łowionej ryby. Nie może jej podoleć także krematorium statkowe. Zaczyna się rozkład ryby na pokładzie. Słodkawy odór weiska się do korytarzy, kabin, w każdą szczelinę statku. Wraz z nasilającym się smrodem wkrada się lek, że stężony smród stanie się śmiercionośny.

A jeśli to prawda, że nad każdym zbiorowiskiem człowieczym wiszą chmury auryczne tworzące się z naszych myśli, przeżyć i czynów, że wszystko, co zostało wypromieniowane

mnie odech morza, którego mi tak nieustannie brakowało. Na powrót zakręciłem mosiężnymi śrubami ciężki bulaj, ale już nie do końca. A tak, by podmuch wiatru ledwie odczuwalnym oddechem sączył do kabiny krztynę czystego powietrza. Morze odświeżył aurą kabiny. Z przyjemnością wyciągnąłem się na koi. Zbudził mnie miarowy chłupot wody. Uderzenie fali za burzą i miarowy chłupot wody zgrany z rytmicznym przechylem statku. Zapaliłem światło. Woda za każdym przechylem statku przelewała się miarowo spod mojej koi, pod kofę mojego współmieszkańca. Zerwałem się. Chwyciłem za wiadro, które było akurat w kabynie i szufelkę. W pośpiechu zacząłem czerpać chlupiącą wodę. Na tej czynności zastał mnie mój współmieszkaniec żelaznej klatki. Oczy mu pociemniały. Rzucił się do swoich pakunków, którymi była zastawiona od góry do dołu wolna przestrzeń kabiny.

— Mój biznes. Jeśli zniszczyłeś mi mój biznes, zapłacisz mi za niego co do centa, razem z tym, co miałem na nim zarobić.

Biznesem okazały się setki par tanich nylonowych pończoch, które zakupił w Cape Town dla pomnożenia swojej marynarskiej fortuny.

Czułem się winny. Zgodziłem się bez dyskusji na całkowitą rekompensatę strat ze sporym naddatkiem. Straty okazały się zresztą nie tak znaczne. Jedynie te kartonowe pudła, które leżały na podłodze zamknięte ledwie do połowy. Same pończochy w plastikowych opakowaniach i jeszcze prze-

zornie zapchane do plastikowych toreb, uciერიალი niewiele. Cały dług wystawiony w dewizach, za rzekome wstawienie, bez szemrania spłaciłem co do centa. Dla świętego spokoju?!... Tak, dla świętego spokoju, ale nie tylko. Także dlatego, żeby zachować psychiczny dystans w okolicznościach, kiedy nie można zachować właściwego dystansu fizycznego. Koleś po kabynie zwierzył również niedomknięty na milimetry bulaj. Tę to okoliczność wykorzystwała fala, którą nagle podniósł i wzmożił podmuchem wiatr. Zmagając się na czworaka z chlupiącą i przelewającą się wodą, po raz pierwszy usłyszałem.

— Kurwa kataryna, jak ja cię nienawidzę. Z takim muszę w jednej kabynie... A jeszcze raz kiedyś zechce ci się świeżego morskiego powietrza. Jeszcze raz odrubujesz bulaj... Do morza zepchnę. Będę siedzi z tobą jak cień. Upoluję, kiedy dusza zapagnie nalykać się świeżego powietrza i staniesz nocą przy otwartej burcie. Będę siedzi z tobą, jak cień i doczekam się tej chwili. Twoje własne kapcie zastąpią ci garstkę ziemi na pochówek. Do morza je za tobą wrzucę, żeby ani ducha, ani kapci po tobie nie zostało...

Rzeczywiście, z pokładu szalupowego, ledwie ogrodzonego łańcuchem od przestrzeni zaburcia, najprościej na świecie pchnąć człowieka do morza. A przecież tam właśnie, przy względnie spokojnym oceanie, wykradają się z dusznego i prześmierdłego wnętrza statku, by uwolniony od ciągłego dotyku spojrzeń ludzkich, w cieniu podwieszonych na legarach szalu-

py ratunkowej, odetchnąć zapachem wilgotnego, morskiego powietrza. Moje ulubione miejsce do prywatnego wachowania, by napaść oczy widokiem morza. Poczucie powiew wiatru na twarzy, dojrzenie na chwilę gwiazdy wiszącej nad krzyżami masztów. Nabierać odporności przeciw uderzającej w ciebie nienawiści. Przecież to dla mnie na całym statku jedyne miejsce nie skażone jeszcze nienawiścią. Ale oto moje miejsce, w którym nabieram sił z morza i kosmosu, sił nadwątlonych nienawistnym użeraniem, jak się okazuje, zostało wytrącone.

Rzeczywiście, działając zniechęca, żaden wysiłek i prawie żadne ryzyko. Wystarczy jedno energiczne pchnięcie od tyłu. Nawet jeśli po człowieku tylko kapcie zostaną, to też żaden dowód przestępstwa. A przecież po mnie nawet kapcie nie zostaną, bo zastąpią mi garstkę ziemi na pochówek. Przy gwałtownym przechyle statku marynarz wypada za burcie i kwita. Wydarzenie mieszczące się w konwencji ryzyka zawodowego. Po prostu, wypadek przy pracy. Był marynarz na statku wpisany na listę członków załogi i przepadł bez wieści. Teraz udowodnij, że ktoś mu pomógł mocnym zniechęca pchnięciem od tyłu. Może sam miał wszystkie dosyć.

A może po prostu wypadek. Chwila nieuwagi przy niespodziewanym, gwałtownym przechyle z pogłosu dziewiętej fali. Był człowiek. Nie ma człowieka... Znajdź winowajcę. Udowodnij, że ktoś komuś dopomógł wylecieć za burcie. To tylko ziemia sama z dobrej woli zdradza tajemnicę. Woda przechowuje.

Jest to jej naturalna cecha. Niekiedy tylko częstą tajemnicę wynosi na powierzchnię, lub kapryśnie wyrzuca na brzeg, ale i w takich okolicznościach prawie zawsze tajemnica nie zostaje odsłonięta do końca. Woda dochowuje tajemnicę.

„Kurwa kataryna... Z takim do końca rejsu, chyba, że za burcie...”. Nie daje mi spokoju mamrotliwa, senna skarga, podsłuchana w ocknięciu się z niespokojnego snu.

Kogo za burcie. Siebie czy mnie. A może siebie znieawidzonego jeszcze bardziej, niż istnienie mojej osoby. Być może ja jestem jedynie odbiciem i cieniem tej utajonej nienawiści do samego siebie. Znajdującym się na podorędziu realnym istnieniem i szansą uwolnienia się od utajonej samonienawiści. Kogo tak naprawdę za burcie, siebie czy mnie... A może jedynie starczyłoby na tyle odwagi, żeby wypchnąć za burcie mnie zamiast siebie. Sprawy oczywiste, jednoznaczne toną w morzu spraw nieoczywistych i niejednoznacznych. A więc kogo tak naprawdę za burcie. Siebie czy mnie?...

Opowiadanie z książki Na krawędzi wody przygotowywanej przez wydawnictwo „Polskie Pismo i Książka” w Szczecinie. Tytuł — wyjęty z tekstu — pochodzi od redakcji.

Jerzy Pachlowski

Co u Pana słychać?

Agnieszka Dufka

Pamięci Pana KORNELA FILIPOWICZA

Schodami w górę na trzecie piętro. Jest południe, dochodzi piąta. Za pięć. A więc za wcześnie o pięć minut. Schodzę z powrotem pół piętra i staję przy oknie. Za chwilę wracam pod drzwi i opieram się o poręcz schodów. Czekam. Piąta za minutę. Ręka nieposłuszna mojej woli naciska dzwonek. Rozlega się przeciągły dźwięk, na ulamek sekundy zapada cisza, a potem, z głębi mieszkania mocny głos pana K. krzyczy: „Juuuuuuu!” Znowu chwila ciszy, potem słyszę szelest kroków i oto szare drzwi z papierową wizytówką otwierają się przede mną. Wchodzę w mroczny, szary przedpokój. Drzwi na lewo, na prawo i te na wprost, zawsze otwarte. Idziemy właśnie tam. Mijamy starożytny wieszak z owalnym lustrem, potem rozwidlenie korytarza na lewo i zaraz w prawo gdzie pan K. skręca do kuchni. Wchodzę do tego pokoju na wprost i siadam na krześle zawsze czekającym na gościa. Teraz wchodzi pan K. Trzyma srebrną tacę z filiżankami. Nad nimi unosi się smużka pary. To z wody. Kawa będzie za chwilę. Pan K. siada i wysypuje do filiżanek po dwie łyżeczki kawy neski. Filiżanki z przygotowaną w ten sposób kawą, stawia na wiklinowych podstawkach: jednej ciemnozielonej, drugiej w kolorze zgaszonej czerwieni. Słodzimy. Między filiżankami pojawił się talerzyk z połamaną na części czekoladą.

„Co u pani słychać?”
Mieszam kawę i tym próbuję wytłumaczyć moje milczenie. Po prostu nie wiem, co odpowiedzieć na to pytanie. Pan K. chichocze.

„Wie pani, co powiedział Gombrowicz Stonimskiemu, gdy ten go zapytał: — Co u pana słychać? — Powiedział — Litości, panie Antoni!”

„No właśnie, litość!” powtarzam i tamto pytanie nie czeka już na odpowiedź.

Siedzę na krawędzi królestwa. Jest zbudowane z połączonych stołów i biurka, z tyłu obwarowane ścianą. Wejść do niego można jedynie przesmykaniem w sam raz takim, by pan K. mógł się swobodnie poruszać. Ta sokoła budowla zajmuje niemal połowę powierzchni pokoju i znaczną część

przestrzeni. Książki, maszynopisy, korespondencja pną się w górę, tworząc ze sprzętami coś w rodzaju fortecy. Pan K. siedzi wewnątrz. Próbuję przypomnieć sobie wszystko, co siedząc w czasie wizyty, po drugiej stronie biurka widziałam przed sobą. A więc dwie lampki, zawsze zaświecona ta stojąca po lewej stronie pana K. Zwykła lampa z abażurem. Kojarzy mi się z zielonym kolorem. Nie wiem czemu, bo przecież gdy myślę o niej, widzę ją bezbarwną. Nie potrafię połączyć tej bezbarwności, a raczej przezroczyściego miejsca w kształcie lampy z wrażeniem zieloności. Dopiero po przeczytaniu jednego ze wspomnień o panu K.,



KORNEL FILIPOWICZ — rys. Aleksander Pieniek.

wspomnienia, w którym autor napomknął o zielonkawym kręgu światła, kolor zielony nasunął się na bezbarwny w mojej pamięci abażur. Rzeczywiście, tamten abażur był zielony. Do dolnej krawędzi coś przyczepiono: agrafkę, haczyk na ryby, koralik... nie wiem. Ale gdy myślę o tej lampie, wydaje mi się, że coś tam się rusza, jakiś szczegół kołysze na wietrze. A więc dwie lampy. Poza tym było tam jeszcze przezroczyście, plastikowe pudelko z zasuszonym chrabąszczem, szklana miseczka (gdy myślę o niej,

na moment pojawia się w niej pastylka, musiała tam kiedyś leżeć), a więc szklana miseczka i lufka na papierosy, popielniczka i „popularne”. Zamykam oczy i wtedy widzę wiele innych przedmiotów. Otwieram oczy i już nie pamiętam, nie potrafię ich ani rozróżnić, ani nazwać.

Podobnie, gdy chcę sobie przypomnieć, co pan K. mówił do mnie. Ogólnie pamiętam, ale chciałabym usłyszeć ponownie choćby jedno pełne zdanie nie przetworzone przez mój umysł, a zbudowane dokładnie tymi samymi słowami, który użył kiedyś on. I gdy tak wysilam pamięć w poszukiwaniu tamtego zdania, określającego postawę pana K., jego stosunek do świata, do malarstwa, do politycznych zdarzeń, zdania, na którym mogłabym się wesprzeć właśnie teraz i poczuć mniejszy lęk, słyszę coś innego. To coś, co tkwi w moim wspomnieniu bardzo głośno. I gdy chcę usłyszeć tamto zdanie, to coś przebiega się na plan pierwszy, niweczając moje wysiłki. To głos surowy w tym momencie i mocny, który wybija co jakiś czas z naszej spokojnej rozmowy, jak wykrzyknik te słowa: „Kiziu, nie wołno!”. Kiziu, to kot, czarny, zgrabny kotek. Nie wiem jak to się stało, że o Kiziu przypominałam sobie dopiero teraz. Przecież otoczona wielkim uczuciem ze strony pana K., bohaterka i uczestniczka opowiadań, stanowiąca najważniejszy element tamtego pokoju. Mieszka teraz u kogoś innego i pewnie się dziwi, że może być świat tak różny od mrocznego, zagrzonego pokoju pana K., świat bez biurka, po którym można by się przechadzać wśród książek, przeciągając na sterce papierów, a potem zeskoczyć pod uchylone drzwi balkonu i wylchając strumień świeżego powietrza wepchnąć łapkę w szparę pod drzwiami. Kiziu z mojego wspomnienia właśnie siedzi mi na kolanach i przyjaźnie mruczy zadowolona z pieszczoł. Lecz nagle próbuje ugryźć ostrymi zębami moją rękę. „Kiziu, nie wołno! Niech ją pani trzepnie!”

Zerkam na budzik. Mija pół godziny spotkania, godzina. Wstaję. Pan K. zatrzymuje mnie, albo nie. Może sam przerwie nasze spotkanie tłumacząc

się potrzebą drzemki. Jeśli to popołudnie. Zdarzają się przedpołudniowe wizyty, które pan K. przerywa w sposób naturalny, gdy nadchodzi moment gotowania makaronu na obiad. A więc zerkam na budzik. Zaraz obok stoi czarny, ebonitowy telefon, trzymany, bo ja wiem, może z sentymentu. Dalej leży ten właściwy, czynny, czarnoczerwony. A obok niego najmniejszy na świecie telewizor. Z pewnym wysiłkiem (właściwie tylko dzięki zdjęciu, które pokazała mi znajoma) przypominałam sobie kilim, który wisiał na ścianie za plecami pana K. Przyczepiono do niego coś ciemnego, podłużnego. Może jakiś starożytny pistolet. A może fajka. Bardziej prawdopodobne, ale jednak, to nie fajka. I choć w dalszym ciągu nie byłam pewna, lecz obawiałam się ogromnie, by nie utknąć na tym fragmencie wspomnienia, napisałam, że do kilimu był przyczepiony pistolet. W ten sposób przybył jeszcze jeden przedmiot stanowiący o niezwykłości tamtego miejsca, opisujący tę część wnętrza, którą miałam przed sobą, siedząc naprzeciw pana K. po drugiej stronie jego biurka.

Pan K. znajdując się w swojej fortecy, widział tę część pokoju, do której gość siedział zwrócony plecami. Tapezan i stolicek, półki z książkami i fotel w stylu Ludwika, niski taboret pełniący funkcję postumentu pod rzeźbę przedstawiającą psa. Lecz przede wszystkim pan K. widział obraz. Wiszą wszędzie. Kiedyś te pierwsze były rozmieszczone z namysłem, następnie zapelniały ściany w miarę wolnego miejsca. Potem zaczęły wspinać się na sprzęty, przyczepiać do półek. Niewielkie, czy wręcz małe pozwalały się utknąć wszędzie. Niektóre przekrzywione, inne ukryte w ciemnym kącie, prawie niewidoczne. Przytwierdzone nawet do framugi drzwi wypływają do przedpokojów. Znowu idę tedy, w przeciwnym kierunku, do drzwi, które z wejściowych stały się wyjściowymi.

Jest grudzień, ze dwa dni przed Wigilią. Po schodach wchodzi znajoma pana K. ubrana w czarne futerko i

(C.D. NA STR. 11)

Okolice znajome i nieznanne

Czesław Miłosz: „Dalsze okolice”, wydawnictwo ZNAK, Kraków 1991.

W starości wybrałem się do miejsc, po których kiedyś błędziła moja wczesna młodość — to zdanie z wiersza *Powrót* dobrze oddaje istotę nowego tomiku CZESŁAWA MIŁOSZA. *Dalsze okolice* stanowią poetycką interpretację fenomenu starości i w tym uzupełniają dziennikowy *Rok myślowy*. Egzystencjalne doświadczenie tego etapu życia, doznawane cieleśnie, zmusza do przyjęcia innej perspektywy, z której dokonywana jest ocena samego siebie. Powraca motyw spełnienia, które przynosi gorycz. Zrealizowanie pragnień młodości wywołuje rozczarowanie, a zarazem jest potwierdzeniem tożsamości wędrującego w czasie bohatera wierszy.

Starość w *Dalszych okolicach* jest także momentem szczególnie intensywnego spotkania z dzieciństwem i młodością. Jest to powrót, który dokonuje się dzięki pamięci, ale jego cel jest inny niż nostalgiczne wspomnienie. Dzięki niemu pytania stawiane sobie w poszczególnych epokach życia zyskują odpowiedź. Spotkanie z własnym początkiem pomaga wyjaśnić sens egzystencji, choćby za chwilę został on zanegowany na innym piętrze dialektycznego myślenia przeciwieństwami. Tytułowe „dalsze okolice” to ciągle nie znana i nie akceptowana starość, to także kraina metafizyki, do której prowadzi droga sensualnego doświadczenia.

„Nie widziane dotychczas zwiędziały okolice”. Ale „dalsze okolice” to przede wszystkim kraj dzieciństwa i młodości tak mickiewiczowski jak poetycka tytułu odwołującego się do sonetu *Pielgrzym*:

U stóp moich kraina dostatku i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne
lice;
Dlaczegoż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i — niestety! jeszcze dalsze
czasy?

Przywołanie Mickiewicza nie jest tu przypadkowe. Łatwa, zbyt łatwa paralela biograficzna jest, w swej oczywistości, tropem porzuconym. Tymczasem każdy tom Miłosza podejmuje dialog z tą tradycją poprzez reinterpretację jej wielkich motywów, wśród których szczególnie ważna jest przyjmowana przez bohatera lirycznego rola wędrowca i wygnańca, wyraźna już w wierszu *W mojej ojczyźnie*. Te międzytekstowe nawiązania dostrzec można w powracających obrazach poetyckich, w rytmie fraz, czy (co najgłębiej sięga w podświadome korzenie związku) w języku, który czerpie z tego samego źródła polszczyzny. Gdy mowa o poszukiwaniu najlepszego kształtu poetyckiego, pojawiają się słowa: „dosięgnę ją-

dra gęstwiny, gdzie wszystko będzie prawdziwe”, doliny jak u Mickiewicza domagają się epitetu: „piękne” — więc jest: „Dolinami zawsze pięknych, choć zatrutych rzek”. Nawet bełkot mający wyrazić niewyraźne to: „aa”.

Ala najciekawszy moment tej rozmowy z tradycją to podkreślony w tytule tomu motyw wędrowca, przemierzającego nowy i obcy mu świat, wciąż rozdartego na „tam” i „tu”:

Tu gdzie mieszkam kupują i sprzedają
O każdej godzinie dnia i nocy.
(...)

Owoce zwożone z pięciu kontynentów,
Ryby i mięsowa ze wschodu i zachodu
(...)

Ja nie stąd, z prowincji dalekiej,
Z dalekiego także kontynentu,
(...)

Siedzieliśmy za błotami, za lasami,
Trzydzieści kilometrów od najbliższej
stacji,
W dworach, dworach, zaściankach
i wioskach,
(...)

Uciekaliśmy się pod opiekę Cudownej
Panny,
Wtórowaliśmy organom słowami
łacińskiej pieśni.
(Dawno i daleko)

Rola wygnańca i wędrowca ma zarazem charakter doświadczenia czasoprzestrzennego i powszechnego doznania ludzkiego, które jest udziałem poety:

A ja, który jestem
wędrowcem i zbieraczem form
widzialnych w gorzkim
stuleciu bez harmonii.

Świadomie podjęty dialog z poezją Mickiewicza zaczyna się u początku drogi poetyckiej. Wróćmy do otwierających *Trzy zimy Ptaków* z ich rytmem i powracającymi słowami „dziecko, niedobre dziecko”, które są echem chóru aniołów powtarzających nad śpiącym Konradem: „Niedobre, nieczyste dziecko”. Są to słowa istotne, bo składające się na osobisty mit wybrania i powołania kogoś, kto sam nie zaśłużył na to — jego daleką kontynuację odnajdziemy też w *Dalszych okolicach*.

Późny Miłosz piszący wiersze — przekłady z poezji chińskiej wchodził w dialog z innym Mickiewiczem, tym z liryków lozańskich, bo czy urywki

Uciec z duszą na listek i jak motyl
szukać
Tam domku i gniazdeczka

nie brzmi jak formuła do medytacyjnego powtarzania?

W wierszu *Linnaeus* padają słowa autocharakterystyki: „Był jednym z nas, w dzieciństwie szczęśliwych”. Psychoanaliza dzieciństwa zapewnia nas, że istnieją dwa typy twórców. Do pierwszego zalicza tych, których najwcześniejsze lata przebiegały w spokoju i harmonii, mieści się w nim Goethe; zaś do wielkiej rodziny nieszczęśliwych w dzieciństwie — Kafkę i Becketta. Podobieństwo „kraju lat dziecińczych” Mickiewicza i Miłosza to nie tylko topograficzna tożsamość miejsca (o jej tajemniczym i nie do końca zrozumiałym wpływie na ludzkie losy pisze Miłosz w najnowszym esej *Miejsca utracone*), to także podobieństwo danej dziecku rzeczywistości psychicznej, która umożliwia swobodę, afirmację własnego ja i wczesne doświadczenie „tremendum et fascinatum”.

Starość zmienia znaczenie pytania o tożsamość podmiotu. We wczesnej poezji Miłosza brzmiało ono: „kim jestem?” (jak w *Ptakach*: „czym jestem, czym ja jestem i czym oni są”). W *Dalszych okolicach* powraca sformułowanie: „Kim byłem?” a nawet:

Kim będę dla ludzi wielu pokoleń
po mnie
Kiedy po zgietku języków weźmie
nagrodę cisza?
(Oset pokrzywa)

Pytanie o egzystencję najczęściej sprowadzane jest do zagadnienia powołania poetyckiego. Odkrycie tego powołania nastąpiło w dzieciństwie — jego odczytanie dopiero w starości. Otwierający tom wiersz *Kuźnia* przynosi archetypiczny obraz ognia i dziecięcej fascynacji nim ożywiony we wspomnieniu:

I patrzę, patrzę. Do tego byłem
wezwany:
do pochwalenia rzeczy, dlatego że są.

W różnych wersjach pojawia się topos biblijnego Adama nadającego imiona stworzeniu. Uczestnictwo w szczęściu nazywania ma Linnaeusz klasyfikujący Królestwa Natury (*Linnaeus*) i książka Szarywid, twórcą pierwszego słownika litewsko-łacińsko-polskiego (*Filologija*). Ten ostatni utrwał słowa a wraz z nimi kruche ludzkie istnienie. Wiara w moc słowa to jasna strona powołania. Ale jest i ciemna: wątpienie w sens nietrwałego utrwalania. Zatrzymany w opisie z wiersza *Wieczór „moment niskich obłoków”*.

Kto widzi? Ten, kto zwątpił w swoim istnieniu.

Dialektyka wiary i wątpienie w moc poezji przewija się przez cały tom. Jednak nawet wizja „ziemi — bez-gramatycznej”, w której słowo nie może już ocalić, zostaje uwolniona od całkowitego pesymizmu. Pociężenie (z *Rozmowy*) obiecuje nieśmiertelność nawet spalonym obrazom poprzez wieczność formy (twierdzenie to nieprzypadkowo potwierdzone jest autorytetem Baudelaire’a — u schyłku stulecia powraca „czas uwielbienia sztuki” a wraz z nim modernistyczne mitologie artysty, który jest zarazem święty i nieczysty: „cała nasza wewnętrzna brudnawość i I wariatwo i wstyd, dużo wstydu”).

Dialektyczne myślenie dotyczy w *Dalszych okolicach* istnienia Boga, sensu wyznawania religii czy uprawiania filozofii (*Albo — albo, Dwa wiersze*). Ze starcia przeciwieństw wypływa odpowiedź, która jest prawdziwa w przypadku obu hipotez, tej na tak i tej na nie.

W wierszu *Sens* czytamy:
— Kiedy umrę, zobaczę podszewkę
świata
Drugą stronę, za ptakiem, górą
i zachodem słońca.
(...)

— A jeżeli nie ma podszewki świata?
Jeżeli drożdź na gałęzi nie jest wcale
znakiem
Tylko drożdżem na gałęzi (...)

Tu także ocaleniem jest słowo:
Słowo raz obudzone przez nietrwałe
usta,
Które biegnie i biegnie, poset
nieustrudzone,
Na międzygwiazdne pola, w kolowrót
galaktyk
I protestuje, wola, krzyczy.

Dalsze okolice są podsumowaniem własnej drogi poety i dziejów stulecia. Perspektywa dokonywanej oceny jest ponadjednostkowa, a nawet ponadludzka. Nieobjęta ziemia bardzo się zmniejszyła i podmiot liryczny ma jak mieszkaniowiec *Domu filozofa* możliwość jednoczesnego spojrzenia na dzieje ludzkości w różnych czasach, kulturach i na różnych kontynentach. Książki, muzea i film tworzą syntetyczną historię człowieka i planety, która w reporterskim skrócie daje złudzenie pełni. Podmiot wie, że wizja ta jest totalnie jedynie pozornie, ale nie można jej ignorować, bo istnieje i tworzy nasze zbiorowe wyobrażenie o świecie. Dawny model już nie obowiązuje. Można tylko tęsknić za harmonią podobną do kosmicznej wizji Dantego.

Mijające stulecie było trudne, ciemne, podobne do „ciężkiego snu”. *Dalsze okolice* są pożegnaniem XX wieku i — jakkolwiek to zabrzmiało — pożegnaniem własnego życia (*Dobranoc*). W takiej chwili odrzucone zostaje to co przypadkowe i zewnętrzne. Filozofia nie daje już pocieszenia. Pozostaje „świat widzialny” i sensualne doznania, w których uzyskuje potwierdzenie esse. Właśnie te najprostsze doznania nabierają niezwykle znaczenia i podobnie jak „pojedyncze ludzkie żywoty” domagają się utrwalenia w słowie. Metafizyka zostaje ocalona, pragnienie wieczności nie jest już skazane na klęskę, może być w każdej chwili poddane medytacji, której metodę podsuwa sam Miłosz komentując *Zen codzienny*.

Wyjaśnienie, w czym tkwi głęboka mądrość nowego tomu Miłosza, napotyka na trudności. Sens ascetycznych zdań nie wymaga bowiem uczonego komentarza (choć ich międzytekstowy dialog z różnymi głosami poetyckimi i tradycjami filozoficznymi przeczy prostocie). Późne wiersze Miłosza wymagają innego rodzaju lektury: uwagi wewnętrznej, koncentracji, bo intelektualne zrozumienie przekazu tu nie wystarczy, pozostaje to, co powinno powstać w nas samych, bez pomocy przewodnika.

Anna Czabanowska
-Wróbel

Książki nadesłane:

LESZEK ALEKSANDER MOCZULSKI: „POZDROWIENIA”. Calvarianum, Kalwaria Zebrzydowska 1990.
Piękny i kameralny zbiór krakowskiego poety, ilustrowany przez Stanisława Rodzińskiego.

ROMUALD WRÓBLEWSKI: „POLSKIE PSZCZELARSTWO”. Ossolineum, Wrocław 1991.

Historia polskiego pszczelarstwa stanowi odrębną dziedzinę zainteresowań R. Wróblew-

skiego, której poświęcił kilka pomniejszych studiów. „Wszystko to, co wiemy o dawnym pszczelarstwie polskim, znajdujemy na łamach starych książek rolniczych, kalendarzy gospodarskich, czasopism ilustrowanych, na obrazach i rycinach, a także w muzeach etnograficznych. Krajobraz i świadomość nie może bowiem obejść się bez pasieki w cieniu lip, brzęczących pszczół czy starców pijących stuletni miód. Są to uli-Kochanowskie, Wyczółkowskie, Stanisławow-

skie czy Miłoszowe — utrwalone w naszej wizji przeszłości”.

WŁODZIMIERZ BORODZIEJ i in.: „POLSKA PODZIEMNA 1939—1945”. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1991.

Jak piszą autorzy: „Należy pamiętać, że temat niniejszej książki był przez długi czas tematem wyjątkowo obciążonym emocjonalnie, a manipulacje różnymi wątkami historii lat 1939—1945 służyły niejednokrotnie jako argument w starciach politycznych powojennego czterdziestolecia. (...) Najwyższa więc pora, aby lata 1939—1945 poddać obiektywnej ocenie (...)”.

TADEUSZ KIJONKA: „CZAS ZAMARLY”. Czytelnik, Warszawa 1991.
Nowy, przejmujący tom poety, publicysty, krytyka,

HENRYK JASICZEK: „JAK TEN OBŁOK”. Katowice 1990.

„W ostatnich latach życia Henryk Jasiczek stał się dożywotnim więźniem niewielkiej krainy zwanej Zaolzie. Wyrok, który wydano, miał doprowadzić do powolnej, wykrwawiającej śmierci najmłodszej poety tej ziemi” — ze wstępu Tadeusza Kijonki.

„Z BIEGIEM OLZY” Antologia polskiej poezji zaolziańskiej. Katowice 1990.

„Wszystkich tych poetów łączy jedno: wywodzą się stąd i reprezentują tradycję literatury wyrastającej z regionalnych źródeł, ale jednocześnie, co pokolenie — przekraczają coraz bardziej jej granice, za każdym razem w szerokim kontakcie z tendencjami i poszukiwaniami artystycznymi poezji polskiej”. Wybór i opracowanie Tadeusz Kijonka.

AREK ŻURAWICKI: „FUTURE”. Będzin 1991.

Tomik wierszy w nakładzie 30 egz.

WŁADYSŁAW Cwik: „DZIEJE JÓZEFOWA”. KAW, Rzeszów 1992.

„W opracowaniu tym główny akcent położono na dzieje samego Józefowa (w l. 1870—1987 osady), jednak starano się uwzględnić również najważniejsze sprawy odnoszące się do najbliższej okolicy, szczególnie w granicach jednostki administracyjno-samorządowej, związanej z miastem”.

SOFOKLES: „ANTYGONA”. Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 1991.

Arcydzieło Sofoklesa w przekładzie i ze wstępem Nikosa Chadzinikolau.

Pomiędzy śmiercią a narodzinami

„Tybetańska księga umarłych”. Przełożył i opracował Ireneusz Kania. Oficyna Literacka, Kraków, 1991.

Niezmiernie rzadko ostatnimi czasy odnotowujemy wśród pozycji wydawniczych taką, którą określić by można jako ewenement. A jest nim niewątpliwie — w zakresie translatorskim, jak i edytorskim — *Tybetańska księga umarłych* przełożona po raz pierwszy na polski, i to z oryginału tybetańskiego, przez wybitnego tłumacza, erudytę i poliglota, Ireneusza Kania.

Oryginalny tytuł *Księgi* brzmi: *Bar-do Tos-grol czen-mo* — *Wielkie wyzolenie z bar-do przez słuchanie*. Kluczowe pojęcie *bar-do* oznacza — w przybliżeniu — „przeziębienie” pomiędzy śmiercią a przyszłą formą istnienia, w której znajduje się zmarły (względnie umierający). Księga zawiera przedziwną moc i wyrazistość „pisy tej „przeziębienia” czy też — stanu duszy będącego niejako „końcówką” dotychczasowej osobowej egzystencji człowieka. W stanie owym, czy raczej w stanach, powstają jakby echa wrażeń, już poza zasięgiem świadomości, niby we śnie, jakieś zjawy koszarne, widziadła, stanowiące wszakże emanację „ego”, z którego właśnie należy się wyzwolić. Do tego służą pouczenia, które lama recytuje zmarłemu, aby ów, własnym wysiłkiem duchowym, wyzwolił się zarówno od dawnych cielesnych przyzwyczajzeń i wyobrażeń, jak i od ponownych narodzin, zagrażających mu wejściem w krąg „samsary” (kolejnych narodzin i śmierci) i — inkarnacją w niższe formy istnienia. Idealem byłoby wejście z „przesmyku” *bar-do* ku „przeziębieniu sferze spełnienia Buddy” lub — jak gdzie indziej *Księga* to określa — do odrodzenia się „w czystym niebie bodhisattwów”. „Straszny przesmyk”

bar-do nasuwa analogię z „tunelem” doświadczonym przez ludzi, którzy przeszli przez śmierć kliniczną, relacjonując swe przeżycia w głośniejszej książce R. Moody'ego *Życie po życiu*. Zwraca też na to uwagę Ireneusz Kania w swym obszernym wstępie, w którym wykazuje on znawstwo przedmiotu wybiegające daleko poza konieczne kompetencje tłumacza. Z owego „tunele” widać było — wedle świadectw osób badanych przez Moody'ego — wyjście na mającą u jego końca światłość. Zbieżność to z *Tybetańską księgą umarłych* tym większa, że w niej właśnie „duch w swej właściwej istocie ma naturę światła” — jak zauważył prof. E. M. Dargyay cytowany we wstępie. Wyjście z *bar-do* do „czystej dziedziiny bodhisattwów” byłoby wyzwoleniem nie tylko z pośmiertnego „przesmyku”, ale i — od dalszych wcieleń, wręcz od bytu, zatem pełnym zbawieniem. *Księga* jednak przewiduje niepowodzenia tego optymalnego rozwiązania. Dlatego konieczne jest dla zmarłego dalsze słuchanie pouczeń. Z nich to właśnie, z ich wariantów dostosowanych do stanu duchowości zmarłego, jak i z opisu doznawanych przez niego przeżyć i wyobrażeń, składa się w głównej mierze *Tybetańska księga umarłych*. Najczęściej bowiem w pierwszej fazie niemożliwe okazuje się osiągnięcie zbawienia — któremu w buddyzmie odpowiada pojęcie nirwany, w mahajanie pojęcie „oświecenia” — zmarłemu należy zatem umożliwić „dobre” ponowne narodziny, w możliwie najwyższej inkarnacji bytu.

Pouczenia zawarte w *Księdze* i opisy stanów nieświadomości zmarłego nasuwają nierzadkie analogie z eschatologią chrześcijańską.

Cierpienia wskutek straszliwych zjaw i doznań w *bar-do* można odczytać jako doznania czystocowe, co więcej, stan pośmiertny i stopień jego zdolności do uzyskania wyzwolenia, a także i następne życie „jest wynikiem dawniejszych postępów”, co sprawia, że — słowami oryginalnego tekstu — „Pouczenie o wyzwoleniu przez słuchanie ma głęboki religijny sens”. Zależność przyszłego życia od poprzednich wcieleń przywołuje porównanie do wiary chrześcijanina w przyszłą nagrodę lub karę za życia. Intuicja ta tkwi w pojęciu „karmana”. Mowa też jest w *Księdze* o niebie i piekle, jako możliwych sferach przyszłego istnienia, a także — o „Panu Wielkiego Miłosierdzia”. Ireneusz Kania znajduje ponadto przekonującą analogię *Księgi* z *Orygenesem Homilię o etapach wędrówki synów Izraela*, etapach (czterdziestu dwóch) prowadzących ku czterem sferom czy stanom możliwej do osiągnięcia świętości. C. G. Jung w dołączonym do tomu *Psychologicznym komentarzu do „Tybetańskiej księgi umarłych”* zwraca uwagę na fakt, że „w świecie białych ludzi jedynym miejscem, gdzie spotykamy jakąś troskę o tych, co odeszli, jest Kościół katolicki” (s. 237). Szczególnie msze katolickie za dusze zmarłych mają — jego zdaniem — wśród przejawów naszej cywilizacji „poziom znacznie wyższy” od takich zewnętrznych przejawów, jak pomniki, grobowce itd., „jako że mają specjalnie na uwadze duchowe dobro zmarłych, a nie służą jedynie laudacji uczuciowości”. Symptomatyczny też jest fakt, że okres wędrówki w *bar-do* (49 dni) pokrywa się z okresami postów zachowywanych przez św. Franciszka czterokrotnie w ciągu roku.

Tybetańska księga umarłych składa się z trzech części, które prowadzą w kierunku, by tak rzec, regresji. Część pierwsza to pouczenie, które może trafić do tych głównie, którzy już za życia drogą medytacji, dobrego postępowania, a także dzięki karmanowi pojętemu — zgodnie z Jungiem — jako „dziedziczność psychiczna” uzyskać mogą szybsze i pewniejsze wyzwolenie. Dwie dalsze części *Księgi* obniżają się stopniowo do stanu ducha tych, dla których wskutek braku przygotowania medytacyjnego, złego karmana lub przez niegodziwe życie, coraz trudniejsze staje się wyzwolenie. Dlatego też Jung sugeruje w swym komentarzu odwrócenie kolejności rozdziałów, w intencji lepszego rozumienia tej *Księgi* i przybliżenia jej do psy-

chologii człowieka Zachodu, nawykłego do progresywnego pojmowania drogi ku doskonałości. Tworzywo całej *Księgi* z jej magicznymi elementami, z jej fantazyjnymi widziadłami interpretuje Jung jako „archetypowe treści nieświadomego”.

Oprócz antropologicznego i religijnego znaczenia, *Tybetańska księga umarłych* ma swą samoistną wartość jako przedziwna, fascynująca i inspirująca literatura, która użycia wyobraźni, choć nieraz ją przeraża i poraża swą niezwykłą, demoniczną wręcz inwencją. Źródła jej tkwią — znów wedle Junga — w spichlerzu „zbiorowej nieświadomości”.

Poza samym tekstem *Bar-do tos-grol* umieścił tłumacz jeszcze trzy *Dodatki*, a nadto opisy świetnych ilustracji (według zdjęć kolorowych Marka Koimana i Krzysztofa Szelocha), oraz wyjaśnienia dotyczące przedmiotów reprodukowanych na marginesach *Księgi* (co przydaje stronie graficznej dodatkowej atrakcyjności). Organicznie nieomal związany z *Tybetańską księgą umarłych* jest *Dodatek I*, w którym opisane są w terminach indyjskiej medycyny oznaki zbliżającej się śmierci, określające podług pewnych objawów fizjologicznych, ile komu pozostało życia. Zawiera on m. in. także rodzaj sennika pod tym kątem ujętego. I tu są liczne elementy magiczne oraz — dość naiwne w naszym pojęciu — prognozy życiowe. Bardzo cenny jest *Dodatek III*, cytowany wyżej *Komentarz psychologiczny do „Tybetańskiej księgi umarłych”* C. G. Junga. „Od wiełu lat — pisze Jung — od chwili, gdy została opublikowana, „*Tybetańska księga umarłych*” stale mi towarzyszy; wdzięczam jej nie tylko wiele stymulujących myśli i odkryć, lecz również niemało intuicji o podstawowym znaczeniu”. Wydaje mi się, że w tym wyznaniu zawarł wielki uczonej trafne określenie znaczenia tego dzieła.

Zaś Oficynie Literackiej chwalebnie tylko za wspaniałą edycję, nie za podjęcie ryzyka wydania tej nietrafnej przecież pozycji — dzieła zdumiewającego, które pozostanie w trwałym dorobku firmy i może się ubiegać o laury w konkurencji najlepszych dzieł sztuki edytorskiej.

Leszek Elektorowicz

Na przykład Władysław Terlecki

POLSKA KSIĄŻKA W NIEMCZECH

Dorota Krzywicka

Jak myślicie Państwo, w jakim dziale jednej z monachijskich bibliotek rejonowych znalazł książkę Władysława Terleckiego *Odpuść po biegu? Może wśród powieści historycznych? A może po prostu w dziale „Literatura piękna?”* Nic z tych rzeczy. Władysław Terlecki zawędrował pod niemieckie strzechy jako autor kryminału.

Fakt ten przypomina początkową scenę komedii Stanisława Tyma *Rozmowy przy wycinaniu lasu*, w której jeden z drwali czyta *Zbrodnię i karę* Dostojewskiego i obiecuje sobie po rozpoczęciu książki morderstwo serię dalszych, równie brutalnych scen, a co się z tym wiąże — dużo mocnych wrażeń. Anegdota Tyma, choć złośliwie przerysowująca rzeczywistość, trafnie oddaje znaną tendencję, a mianowicie, że czytelnicy kryminałów mają konkretne oczekiwania i łatwo ich sobie zrazić zbyt mizerną dawką sensacji.

Nieporozumienie, które wynika z braku kompetencji bibliotekarki, i którego ofiarą stała się książka Władysława Terleckiego byłoby więc zabawne, gdyby nie jego konsekwencje: niemieccy zwolennicy mocnych wrażeń literackich nie sięgną już po kolejne pozycje

polskiego pisarza, bo wszak *Odpuść po biegu* ma mniej więcej tyle samo wspólnego z kryminałem co *Zbrodnia i kara*. Zaś dla grupy potencjalnych czytelników, czyli tych, którzy lubią literackie rozważania nad wątkami historycznymi, oraz kondycją psychiczną i motywami działania jednostki w trybie historii wprzęgniętej, wybitny pisarz polski pozostaje nieznanym. Nie ułatwia to reklamy drugiej książce Terleckiego, która pojawiła się właśnie w niemieckich księgarniach.

Dwie głowy ptaka, a w niemieckiej wersji *Die Zwei Köpfe des Adlers*, ukazały się oto w tłumaczeniu Moniki Wrzosek-Müller jako kolejną, dwudziestą siódmą tom wydawaną przez Suhrkamp „Polnische Bibliothek”. Twórca tej serii i jej redaktor — Karl Dedecius, podobnie jak przy poprzednich pozycjach polskiej serii, zadbał o nadzwyczaj staranne wydanie. Nadzwyczaj — nawet jak na warunki bogatego w środki finansowe i techniczne niemieckiego rynku księgarskiego. Szlachetna szata graficzna, piękny papier, twarda, lniana oprawa i sążniste, rzeczowe postowie Michaela Müllera... O tak pięknej publikacji swej powieści w Polsce pisarz mógłby tylko marzyć. Subtelna uroda dedeciusowskiej serii przyciąga oko znawców i zwolenników tzw. ambitnej literatury, dla których zresztą jest przeznaczona. Tomy tej serii mają w niemieckich

księgarniach osobne, stałe miejsce i choć niestety zwykle jest to miejsce niezbyt eksponowane. „Polnische Bibliothek” Suhrkampa ma swoją wierną klientelę.

Dwie głowy ptaka nie powinny zawieść niemieckich polonofilów. Znajdą oni bowiem w tej książce bardzo polski, a zarazem dla Niemców bynajmniej nie oczywisty sposób postrzegania i interpretowania świata przez pryzmat przeszłości. Władysław Terlecki proponuje refleksję nad historią, a w istocie nad ludzkimi charakterami determinującymi dzieje jednostek i dzieje narodowe: tezę o słuszności tej metody wkłada w usta więźnia, z którym dzieli celę warszawskiej Cytadeli Aleksander Waszkowski — jeden z przywódców powstania styczniowego, a zarazem pierwszoplanowa, tragiczna postać *Dwóch głów ptaka*.

„W wiecznym trwaniu losu zawarte są także twoje i moje dzieje i dzieje naszych sędziów” — mówi bezimienny więzień, radząc Waszkowskiemu jak zachować twarz i uratować odporność podczas poniżających przesłuchań. —

„Myśląc o historii nie myśl jednak o datach i pospolicie znanych faktach, które opisano w podręcznikach na chwałę lub nizekczenną pamięć ich autorów! Myśl raczej o prawach, które tymi faktami kierują (...). Szukaj w historii wyjaśnienia swojego losu. Nawet gdybyś popełnił błąd nadmiernej pokory lub rozrośniętej pychy, zawsze w historii inni ludzie ten los odnajdą. Gdy nadejdzie chwila, w której umysł twój rozjaśni się na tyle, żeby tę prawdę w prostym kształcie ujrzeć, staraj się własny los związać z losami innych. Wtedy patrzeć będziesz na swoje dzieje tak, jak na nie będą mogli patrzeć ci, którzy po nas przyjdą, i tak jak my patrzymy na dzieje tych, którzy byli przed nami”.

Władysław Terlecki ceni dystans i rozważę. W swoich opowieściach nie spieszy się: snuje je wolno, wraca do zaniechanych wątków, rozważa detale i subtelności reakcji postaci. Przedstawianym bohaterom pozwala dużo mówić. Właśnie: nie rozmawiać, ale mówić. Powieści Terleckiego są po-

(C.D. NA STR. 11)

Sztuka, uczelnia, rzeczywistość...

Z GRZEGORZEM BEDNARSKIM rozmawia Stanisław Tabisz

GRZEGORZ BEDNARSKI — ur. w 1954 roku. Studiował malarstwo w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w latach 1975—1980. Dyplom w pracowni prof. Jana Szancenbacha. Od 1990 roku pracuje na stanowisku adiunkta na Wydziale Malarstwa ASP w Krakowie w pracowni prof. Stanisława Rodzińskiego. Jest autorem 18 wystaw indywidualnych malarstwa i rysunku m. in. w Krakowie, Zakopanem, Warszawie, Norymberdze. Brał udział w ponad 30 wystawach zbiorowych malarstwa i rysunku w Polsce i za granicą m. in. w Hiszpanii, ZSRR, Kanadzie, Niemczech.

W latach osiemdziesiątych związany z Ruchem Kultury Niezależnej. Otrzymał nagrody: na Biennale Młodych we Wrocławiu w 1987 r. (II nagroda) i artystyczną nagrodę za rok 1987 przyznawaną przez Muzeum Archidiecezji Warszawskiej.

Prace w zbiorach: Muzeum w Bytomiu, Katowicach, Radomiu, Krakowie i Warszawie oraz w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą. W Krakowie obrazy Bednarskiego można kupić w galeriach „Camelot” i „Farbiarnia”.



● Czy w jakiś sposób oczyszczasz się, wywalasz, malując tak dramatyczne i ekspresyjne obrazy?

— Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Nie kontroluję się tak bardzo intelektualnie. Malarstwo traktuję instynktownie. Lubię rozmawiać o obrazach po ich namalowaniu. Tak naprawdę nie mam potrzeby uzasadniania, czym jest dla mnie zajmowanie się malarstwem. Może jest to kwestia podświadomej potrzeby wyrażania przeżyć, może do niczego innego się nie nadaje.

● Jak pracujesz? Jaką stosujesz metodę pracy?

— Maluję cyklami. Kilka, kilkanaście obrazów dotyczących podobnego problemu. Stosuję chyba wtedy zbliżone rozwiązania formalne. Krążę wokół równie drastycznych co porwijających przeżyć. Maluję także w takim stanie, kiedy odzywają się we mnie najgorsze sprzeczności. Niepewność i lęk towarzyszą mi od dzieciństwa... Zawsze jednak punktem wyjścia do pojedynczego obrazu, czy do cyklu obrazów, jest konkretny przedmiot, rzecz. Biorę go ze sobą do pracowni, oglądam, obserwuję, oswajam się z nim, dochodzę jego ostatecznych i uniwersalnych znaczeń. Na przykład, kiedy malowałem cykl „Anatomików”, takim przedmiotem była ludzka czaszka.

● Jak widzisz swoje malarstwo w perspektywie 10 lat, od momentu kiedy ukończyłeś studia w akademii?

— Jako dyplom ukończenia akademii pokazałem cykl obrazów z leżącą postacią „Człowiek i manekin”. Nawiązy-

wałem wtedy do dwóch poruszających mnie obrazów — *Lekcji anatomii doktora Tulpa Rembrandta* i *Chrystusa Holbeina*. Później, gdzieś w latach 1982—83, namalowałem cykl „Anatomików”, w których zestawiałem figury geometryczne z czaszkami, draperiami. Robiłem anatomiczne rysunki mięśni twarzy, studia szkieletu, czaszki. Byłem bardzo skupiony na wypracowaniu sobie realistycznego warsztatu, precyzyjnego, studyjnego widzenia. Był to okres stanu wojennego. Zbliżyłem się do artystów z kręgu grupy „Wprost”.

W latach 1984—85 powstał cykl niezwykle ważnych dla mnie obrazów zatytułowany „Ni mas ni menos”. Znaczący to: „ni mniej niż więcej”. Jest to napis wzięty z obrazu hiszpańskiego malarza okresu baroka Valdesa Leala. Widnieje on na szalkach wagi w obrazie zatytułowanym *Koniec wspaniałości świata*. Zastanawiałem się wtedy, czy to co pozostaje po ludzkim życiu da się zmierzyć, zważyć, określić. Czy będziemy z tego rozliczeni i czy możliwe jest, aby ziemskie pokarmy, wartości liczyły się jeszcze po śmierci. W tym okresie malowałem już bardziej swobodnie i ekspresyjnie, zestawiając ze sobą szkielet, czaszkę i niepokojąco pofalowaną szatę, czasami zamiast czaszki była forma głowy. Równolegle pracowałem nad całą serią pastelów zatytułowaną „Poruszenie z postacią ekstazy”, która była załącznikiem późniejszego cyklu dużych obrazów na płótnie.

1986 rok — to cykl dziesięciu obrazów „Czarna seria”.

Od 1987 roku zaczynam malować głowy w abstrakcyjnej, nieokreślonej przestrzeni, czasami zestawiam je z prostymi przedmiotami, stołem, krzesłem, prętami. Pomiędzy latami 1987—88—89 maluję cykl wielkich obrazów „Poruszenie z postacią ekstazy” o rozmiarach 320×190 cm i wystawiam je w „Teatrze STU” i w „Zimny Gallery”. Lata 1990 to „Domy misteriów” — pastele z jaskrawymi partiami czerwieni, w których pojawia się więcej postaci ludzkich. Jeszcze w 1989 roku rysuję jedną ze stacji krzyżowych *Chrystus z Szymonem Cyrenajczykiem* na zamówienie „Tygodnika Powszechnego”. W ostatnich latach powstają także dwie moje największe prace (6 m × 8 m) wykonane dzięki gościnności „Teatru STU” i pomocy mojego przyjaciela Macieja Rybickiego. Są to: *Pawana na belkę i gwoździe* i *Passio mechanico*. Oczywiście trudno mi dokładnie pamiętać poszczególne etapy. Wydaje mi się jednak, że krążę wokół tych samych obsesji.

● W jakim kierunku zmierza Twoje malarstwo? Czego poszukujesz?

— Próbuje do swojego malarstwa wprowadzić element z zupełnie przeciwnego obszaru estetyki. Ale nie

chciałbym na razie tego zdradzać. Jest to dla mnie trudny i ryzykowny eksperyment. Ekspresja chyba zawsze pozostanie cechą mojej osobowości. Staram się tylko powiększać i uzupełniać jej obszar.

● Jak wspominasz okres uczestniczenia w wystawach Ruchu Kultury Niezależnej? Jaki to dla Ciebie wtedy miało sens?

— Był to dla mnie bardzo ważny okres. Świadomie zaprotestowałem przeciwko przemocy stanu wojennego. Była to decyzja jak najbardziej polityczna, bunt, niezgoda na społeczne zniewolenie, a z drugiej strony wiara w inną, nową rzeczywistość. I nawet jeżeli teraz jest mi nawet ciężko żyć, to wolę ten stan rzeczy od tamtego kłamstwa, uproszczenia i prymitywizmu.

Wyszedłem z pracowni znakomitego kolorysty Jana Szancenbacha, ale już moje obrazy dyplomowe wskazywały, że pójde inną drogą. Udział w wystawach organizowanych przez Kościół zbliżył mnie do artystów z kręgu grupy „Wprost”. Nie jestem za bezpośrednimi, publicystycznymi nawiązaniami do rzeczywistości, ale jednak przyznaję, że twórczość Zbyluta Grzywacza czy Jacka Waltośa robiła na mnie duże wrażenie. Szczególnie dużo zawdzięczam w tamtym okresie Jackowi Waltośowi.

● Jak widzisz sytuację artysty w Polsce, w okresie odpolitycznienia środowisk twórczych, a przede wszystkim w momencie upadku rynku sztuki w Polsce?



„Poruszenie z postacią ekstazy” (1988) — Grzegorz Bednarski

— Rynek sztuki w Polsce podobno nie istnieje, ale kiedyś musi powstać w innej niż dotychczas strukturze. Teraz, w największym stopniu, uzależniony jest od rynku sztuki na Zachodzie. Obrazy wiszą w galeriach całymi miesiącami, latami i nikt ich nie kupuje. Kogo dziś stać na wydanie kilku albo kilkudziesięciu milionów? Z kolei ludzie, którzy mają pieniądze nie inwestują w obrazy, bo się na tym nie znają, albo nie czują potrzeby. Wygodne domy, samochody, elektroniczne wynalazki stawiają na pierwszym miejscu. Oczywiście są malarze kupowani nawet za ogromne sumy, ale myślę, że są to ceny pozorowane, fikcyjne, wynikające z zafałszowanej sytuacji na rynku sztuki. Skoro ekonomicznie sięgamy dna, to rynek sztuki znajduje się w tej samej sytuacji.

● Czy nie uważasz, że nadszedł czas bezwzględnej selekcji, bo sztuką zajmować się będą tylko ci skazani na nią — artyści z powołania, którzy za żadną cenę na nic innego się nie zdecydują?

— Zależy co rozumiemy przez sztukę. Artyści uprawiający tzw. sztukę czystą, skazani są na kilkuletni okres ciężkiej próby i osamotnienia. Nie wszyscy będą mieli siłę i możliwość, aby pozostać przy sztuce. Cena jest wielka: nigdy nie zaznać satysfakcji powodzenia, sukcesu, dostatecznego i wygodnego życia. Cały ten problem związany jest, rzecz jasna, ze stopniem ekonomicznego rozwoju naszego kraju i z większym zainteresowaniem się sztuką średniej warstwy bogaczącej się i stabilizującej.

● Czy myślisz, że wielu utalentowanych artystów przegra z nowym czasem?

— Na pewno tak. I wcale to nie znaczy, że tylko ci słabi przegrają. Oni często są sprytniejsi i zapobiegliwsi. Prędzej idą na kompromis. Ci nieprzejednani, uparci giną w niezbyt wesołych okolicznościach.

● Pracujesz jako adiunkt Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Czy masz jakąś wizję uczenia malarstwa w akademii? Czego wymagałbyś od studentów?

— Mam zdecydowaną wizję akademii jako wyższej szkoły elitarniej. Uważam, że powinno nastąpić odejście od kierunków czysto artystycznych na rzecz kierunków użytkowych i projektowych. Akademia powinna być szkołą na wysokim poziomie artystycznym, płatną, z wyraźnie określonym progra-

mem. Reszta szkół, ma na myśli państwowe wyższe szkoły sztuk plastycznych, powinna utrzymywać profil artystyczno-zawodowy, nie tracąc też nic z wysokiego poziomu. Ale przede wszystkim trzeba liczyć na powstanie sieci szkół prywatnych, nie mających charakteru krótkotrwałych kursów, ale proponujących otwartą i swobodną formułę, prezentujących także pod każdym względem profesjonalny poziom. Uważam, że dyplom akademii nie powinien być tym najważniejszym warunkiem bycia artystą. W pierwszej kolejności powinny liczyć się dzieła, realizacje, obecność na rynku sztuki, a w szczególności poziom tych dzieł. Jest w tym szansa dla prawdziwych talentów, indywidualności nie mieszczących się często w sztywnych ramach szkolnego systemu. I mam nadzieję, że nie będzie decydować o tym zebranie aktualnie rządzącej partii. A od studentów trzeba wymagać jak na każdym studiach pracowitości, dociekliwości, własnej inicjatywy, i rzetelnej podstawowej; opanowania warsztatu.

● Dziękuję za rozmowę.

LIST z Wiednia

40-lecie Międzynarodowego Towarzystwa im. Fryderyka Chopina w Wiedniu

Dwudziesty ósmy stycznia 1992, dochodzi godzina 19. W sali Herbowej wiedeńskiego ratusza zbierają się zaproszeni goście: politycy, członkowie korpusów dyplomatycznych z całego świata, członkowie władz towarzystw szopenowskich, również Polskiego Towarzystwa im. Fryderyka Chopina, artyści, sympatycy. Przybywa ambasador Rzeczypospolitej Polskiej, prof. dr Władysław Bartoszewski, obok niego zajmuje miejsce, ciesząc się w Austrii niezmiennie olbrzymim autorytetem, były wieloletni prezydent państwa, dr Rudolf Kirchschläger z małżonką. Ma się tutaj odbyć koncert z okazji 40-lecia powstania Międzynarodowego Towarzystwa im. Fryderyka Chopina w Wiedniu. Towarzystwo wchodzi w skład utworzonej 17X1985 roku w Zelazowej Woli, Międzynarodowej

Fundacji Towarzystw Szopenowskich, która od listopada 1989 jest członkiem Rady Muzyki UNESCO w Paryżu. Przewodniczącym Federacji jest dr Theodor Kanitzer, przewodniczącą towarzystwa wiedeńskiego.

W ratuszu wiedeńskim nastrój podniosły. Przemówienia, wręczenie aktów nadania honorowych członkostw. Gości wita dr Kanitzer. Doktor Kanitzer, sam odznaczony niedawno wysokimi odznaczeniami Republiki Austrii i miasta Wiednia za zaangażowanie w życie kulturalne państwa i stolicy, za wkład w zbliżenie między narodami, przedstawia krótko historię i działalność towarzystwa, mówi o genialnym polskim kompozytorze. Następnie udziela głosu ambasadorowi Władysławowi Bartoszewskiemu, który, zwracając się do „Szanownych panów i czarujących

pań” podkreśla, iż dzieło tak genialnego twórcy jak Chopin jest własnością całej ludzkości. Głos zabiera kolejni mówcy, po czym rozpoczyna się koncert.

Z Warszawy przyjechała prof. Barbara Hesse-Bukowska, występują pianisci z Tajlandii, Japonii, prof. Alexander Jenner z Wiednia, a także słynny wiedeński chór chłopięcy, Mozart-Sängerknaben. Współorganizatorem uroczystości było również Towarzystwo Przyjaciół Wiednia. Brawa, biedermeierskie bukiety dla pań, wiedeńskim zwyczajem. Po koncercie cocktail, wydany przez burmistrza dr Helmuta Zilka.

Na tym jednak uroczystości obchodów 40-lecia się nie kończą. Następnego dnia, w środę 29 stycznia, o godz. 12.30, pod ufundowaną przez Towarzystwo Szopenowskie tablicą pamiątkową, przy ulicy Kohlmarkt 9, gdzie stał dom, w którym w latach 1829/30 mieszkał Fryderyk Chopin, odbywa się złożenie wieńca. Przemawia dr Kanitzer, następnie radca Ministerstwa Szkolnictwa i Sztuki, dr Jutta Unkart-Seifert, jest radca ambasady, dyrektor Instytutu Polskiego w Wiedniu Marian Bizan, autorka znanej książki *Jan Sobieski*, prof. Gerda Leber-Hagenau. Pięćdziesięcioosobowa orkiestra wojskowej gwardii honorowej gra utwory Chopina, a na zakończenie, jak tu w zwyczaju, *Marsz Radetzkiego* Johanna Straussa-ojca. Gromadzą się turyści, przypadkowi przechodnie, bo miejsce jest na szlaku, tzn., niewiele metrów dalej, rozpiszciera się cesarski zamek Hofburg, przed nim, na Michaelplatz, najnowsze wykopiska z czasów rzymskich i średniowiecza, wokół uliczki, z których każda, włącznie z Kohlmarkt, jest historią.

Wieczorem w sali Hobokena w słynnym z olbrzymich zbiorów grafiki mu-

zeum Albertina, vis a vis Opery Wiedeńskiej, odbywa się pokaz dokumentalnego filmu pt. *Chopin w Wiedniu*, zrealizowanego przez tworzącego tutaj polskiego reżysera Piotra Szalszę. Film został nakręcony parę lat temu dla austriackiej telewizji i dokumentuje dwa wielomiesięczne pobyty Chopina w naddunajskiej stolicy. Pierwszy, w 1829 r., zakończony sukcesem, i drugi, na przełomie lat 1830/31, mniej udany, głównie ze względu na wybuch i przebieg powstania w Polsce.

W gablotach za szkłem można zobaczyć rękopisy 4. *Wariacji na temat Mozarta* op. 2 Fryderyka Chopina, znajdujące się w zbiorach muzycznych austriackiej Biblioteki Narodowej. Trafily tu ze zbiorów dawnej Biblioteki Dworskiej, przekazane jej przez ich wydawcę Toblisa Haslingera. Interesujące dzieje, do 1949 nieznanego opracowania, przedstawił zebrany dyrektor zbiorów muzycznych Biblioteki Narodowej, Hofrat dr Günter Brosche.

W ciągu 40 lat swego istnienia Międzynarodowe Towarzystwo im. Fryderyka Chopina w Wiedniu zorganizowało liczne koncerty z udziałem wybitnych solistów i młodych talentów, obchody rocznic, odczyty, wystawy, przyczyniły się do wydania wielu dzieł Chopina. Członkami towarzystwa są wybitne osobowości świata muzycznego, naukowego i publicznego wielu krajów. Siedem festiwali szopenowskich w Kartause (Kartuzy) w Gaming w Dolnej Austrii wiążą dotychczasową działalność towarzystwa, które oby żyło, na początek, sto lat!

Anna
Milanowska

Co u Pana słyszeć?

(C.D. ZE STR. 7)

wielką czapkę. Stała w drzwiach i pyta: „Czy zabiłeś już karpia?”

„Nie, jakoś nie najlepiej się czuję, zrobię to jutro” — odpowiada pan K. Schodzę po schodach, po tej wizycie mocniejsza, niż wtedy, gdy wychodziłam do góry. Pewność, że wkrótce znów znajdę się w pokoju pana K. daje mi poczucie bezpieczeństwa. Jestem na ulicy. Przechodzę na drugą stronę i spoglądam w górę, na okna południowej części mieszkania pana K. Są zaniedbane. Brudne i z podpryski-

wanym lakierem. To jakby okna dawno zapomniane. Nie znam dokładnie rozkładu pomieszczeń, lecz wiem, że po tej stronie znajduje się łazienka, jakiś pokój i pracownia nieżyjącej żony pana K. Stylowa kanapa, stół z rozłożonymi akwarelami, obraz na sztaludze i inne na ścianach. Poza tym duże biurko z lekko odsuniętym fotelem, jakby przed chwilą jeszcze ktoś tam siedział i właśnie wyszedł. Tylko kurz scalający wszystko wspólną tonacją białawoszarą i zapach charakterystyczny dla nieżyjących już pomieszczeń, świadczą o tym, że lata całe nikt nie siedział w tym fotelu.

I oto marzec, początek kwietnia, ciepło. Znowu przechodzę tamtą ulicą, chodnikiem po drugiej stronie i patrzę na górę na okna mieszkania pana K. Coś się zmieniło. Lśnią, a może to tylko złudzenie. Zatrzymuję się i patrzę uważnie. Tak, szyby są czyste, koś właśnie skończył mycie ostatniej i w tej chwili, gdy tam spoglądam, zamyka okno i znika. Moje spojrzenie przesłizguje się w dół po oknach innych mieszkań, aż do bramy. Na chodniku przed bramą stoją jakieś przedmioty, na które przedtem nie zwróciłam uwagi. Tekturowe pudła i jakiś kosz, fotel Ludwik i mały taboret. Znowu mój wzrok przesłizguje się po oknach, tym razem do góry. I znowu w dół. Nic nie stoi na chodniku pod bramą. Może to był tylko jakiś cień, który w mojej wyobraźni nabrał przestrzennego kształtu. A jednak, gdy stanęłam na tamtym miejscu,

zauważyłam coś drobnego. Potrafiłam to delikatnie butem, potem schyliłam i wzięłam do ręki. Na lekko zgiętej dłoni trzymałam staroświecką stalówkę. TU, pod tym domem, wyglądała jak rekwizyt czasów młodości pana K. Idę przed siebie, oddalam się od tego domu, ale przecież w kieszeni mam tę stalówkę i dzięki niej przypominam sobie świat zamknięty w mrocznym mieszkaniu pana K. Co stało się z tym światem teraz?

I oto październik. Łagodny, jesienny dzień. Idę aleją salwatorską, roztrącając nogami wielobarwne liście. Złociste światło wypełnia mnie optymizmem. Jak po wizycie u Pana czuję się silna. Panie Kornelu, co u Pana słyszeć?

Agnieszka Dufka

Na przykład Władysław Terlecki

(C.D. ZE STR. 9)

tokiem, opiewających o sobie relacji. Oto mówią, opowiadają o swoim widzeniu świata, o motywach swojego działania, o swoich lękach, rozterkach i pragnieniach wrogowie i przyjaciele, postaci, które nigdy nie miały się spotkać, bo dzieliła je przepaść pokoleń, lub wierność wykluczającym się wzajemnie idealom i władcom. Taki zabieg splatania wypowiedzi służy nie tylko osiągnięciu efektu obietywności autora badającego losy autentycznych przeciwników bohaterów polskiej walki o niepodległość. Dzięki temu automatycznie potwierdza się również teza o ciągłości historii i jej powtarzalności. Wypowiedzi powieściowych postaci splecione w nierozdzielny i — wobec istniejących warunków zewnętrznych — nieuchronny ciąg przyczyn i skutków, są odbiciem widzianej z perspektywy czasu historii. Historii, która tak właśnie spłata pojedyncze jednostki w tylko pozornie jednolitą całość nazywaną przez socjologów społeczeństwem, a przez ideologów narodem.

V powieściach Władysława Terleckiego, chociaż mówią one o wydarzeniach dramatycznych, a często wręcz sensacyjnych, nie ma gorączki, rozwibrowanych emocji. Charakterystyczna jest zato ponura i gniołająca świadomość

tragizmu tak zwanej konieczności dziejowej; polskiego fatum. Autor pisze o faktach, które się wydarzyły rzeczywiście, których finał, najczęściej tragiczny, jest powszechnie znany.

Trudno odmówić powieściom Terleckiego urody, oryginalności i mądrości i nie dziwnego, że w Polsce ma on wielu zagorzałych wielbicieli. Czy na tej podstawie można jednak wróżyć powodzenie w Niemczech *Dwóm głowom ptaka*, właśnie wydanej tu tak rzetelnie i schludnie powieści?... Niemcy nie fascynują się przeszłością, a już zwłaszcza jeśli to przeszłość cudza. Dzieje minione kuszą niemieckiego czytelnika o ile stanowią o oryginalnym kolorystyce powieści i stają się pretekstem do efektownych stylizacji. Literacka interpretacja faktów historycznych wypadła tymczasem z czytelnicych łask. Emocje budzi natomiast przyszłość: co będzie, co niewiadome, na co — być może — można wpłynąć, zmienić, ukształtować. W to wierzą Niemcy, to ich dziś urzeka!

Kwestie, które jeszcze długo będą dla Polaków boleśnie aktualne, rozruchy z historią, konfrontacja i oceny postaw i czynów, a przede wszystkim polska gloryfikacja tradycji powstaniej i narodowowyzwoleńczej są współczesnym Niemcom obce. Jak bar-

dzo obce stwierdzić można przeczytawszy *Poddanego* Heinricha Manna. Książkę, która w powszechnej opinii, także wśród młodego pokolenia, najprawdziej portretuje Niemca i która, co mówi się tu z żenadą, ale i z przekonaniem, nie straciła swej aktualności. A Diederich Hessling, bohater tej powieści jest lojalnym, posłusznym i podziwianym swego władcę konformistą.

Jakiś czas temu telewizja niemiecka wyświetliła *Stan strachu* Janusza Kijowskiego. Choć akcja filmu toczyła się w czasie stanu wojennego, główny wątek był do *Dwóch głow ptaka* Terleckiego, powieści o upadku powstania styczniowego, w gruncie rzeczy bardzo podobny: powstanie, aresztowanie, nie kończące się przesłuchania, perfidia carskich czynowników, rozdzierająca świadomość przegranej i — słabość, zawstydzająca choć tak ludzka słabość. Ciekawy i niebanalny film. A przecież podczas projekcji towarzyszyl mi smutek, myślałam bowiem: jak

dużą publiczność mógł on mieć tu, w Niemczech? Na pewno minimalną. Wyświetlono go bowiem koło północy, a w dodatku na innym programie w tym samym czasie można było obejrzeć głośny *Stormy Monday* z popularnym Stingiem i Melanie Griffith. Polska martyrologia nie ma szans w zderzeniu z gwiazdami zachodniej pop-kultury. Nie bardzo więc wierzę w zdobycie szerszej popularności *Dwóch głow ptaka* na niemieckim rynku. Z pewnością książka Terleckiego znajduje uznanie, na jakie zasługuje, lecz jedynie w nie najliczniejszym kręgu tutejszych znawców i miłośników tematu.

Na powszechniejsze zainteresowanie mogłaby natomiast liczyć inna jego powieść, wydana niedawno w Polsce *Drabina Jakubowa*. Tę inteligentną, quasi-wolterowską krotkością ujmującą czytelnika bogactwem groteskowych pomysłów i przewrotną kpina, chętnie kupiłabym w prezencie gwiazdowym wielu moim niemieckim przyjaciółom. Wiem, że by im się spodobała. Jaka szkoda, że na razie nie jest przetłumaczona!

Dorota
Krzywicka

W sprawie wolności kotów

Teresa Walas

W czwartym, bezcennym numerze „Na-Głosu” Tadeusz Nyczek korygując po latach swoje portrety poetów „Nowej Fali” rozważa rolę, jaką w twórczości Zagajewskiego odegrał jego wyjazd za granicę. I powiada: „Wejście w wolność, zwykłą, czysto fizyczną wolność, czyli życie w kraju, gdzie nawet kot jest wolny, nie tylko człowiek, i gdzie w trawę nikt nie wtyka tabliczek «Nie deptać trawników» — jest to doświadczenie, które umyka regulkom”.

Nie zamierzam, broń Boże, podważać tego sądu, ani kwestionować uroków Zachodu. Uwagę moją przyciągnęło zdanie o wolności kotów, które, choć robi wrażenie retorycznego czysto ozdobiaka, może również skłonić do głębszej refleksji.

Nie zetknęłam się osobiście z kotami francuskimi i niemieckimi. Nie sądzę wszakże, by ich sytuacja różniła się zasadniczo od sytuacji kotów amerykańskich i austriackich, z którymi na krótko związałam los. Wiedeńskie koty stanowiły parę złożoną z tłustego rudego samca i eterycznej czarnej kotki o przejrzystych, turkusowych oczach. Ich wolność była zaiste absolutna. Wychodziły, kiedy chciały, wracały o dowolnej porze. Czekano na nich zawsze uchylone okno, kratą zabezpieczone przed złodziejami. Wolności swojej wszakże nie używały do celów trywialnych, sisiały bowiem zazwyczaj do wanny lub do kuchennego zlewozmywaka, jeśli tylko był pusty i dokładnie wymyty. Rano znajdowałam w wannie czarne ślady ich delikatnych łapek, a rudy samiec towarzyszył niezmiennie mojej porannej kąpieli, co nadawało tej rutynowej czynności lekko sodomiczny charakter. Łatwo jednak pójść, że narkotyzuje go tak nie moja nagość, lecz ruch prysznicy i igraszki wodnych kropelek. Gospodarze bowiem ze względów oszczędnościowych kąpali się raz w tygodniu w stojącej, by tak rzec, wodzie.

Wkrótce, niestety, między mną a wolnością kotów doszło do ostrej kolizji. Miała ona podłoże czysto materialne. Okazało się bowiem, że rudy kocur otwiera lodówkę i przywłaszcza sobie moje wędliny kupowane za dewizy, posiadające jeszcze wówczas kurs nadzwyczaj korzystny. Przyczajona za firanką śledziłam uważnie jego posunięcia: wyciągał pojedynczy pazur, wtykał go między gumowe uszczelki i jednym ruchem odblokowywał drzwi lodówki. Wkraczał potem delikatnie i ostrożnie do jej wnętrza, a po dokonaniu powierzchownej inspekcji zapraszał tam kotkę, która bacznie acz ze spokojem przyglądała się z boku rozwojowi wypadków. Wolność kotów naruszała poważnie moje interesy, ich więc inteligencji musiałam przeciwstawić własną pomysłowość i zdobywcę ludzkiej cywilizacji. Napoczętą szynkę lub wyjęte z plastikowej ostony parówki umieszczałam teraz w specjalnym pudełku wyposażonym w klamerki, i tak zabezpieczone wkładałam dopiero do lodówki.

Samotność zbliżyła mnie wszakże do smoich wrogów. Z koteczką zwłaszcza zaprzyjaźniłyśmy się serdecznie, a więź, jaka się między nami wytworzyła, posiadała najwidoczniej głębsze podłoże. Kotka jednak stawiała pewne warunki. Co jakiś czas musiałam zapraszać również rudego kocura. Gdy czuła w powietrzu zapach tuńczyka, stawała pod drzwiami i patrzyła na mnie twardo swoimi turkusowymi kryształkami. Ustępowałam i otwierałam drzwi. Wtedy za chwilę wracała, spruwając skądś rudego rzeźmieszka, który obrzucał mnie społem i ba niezyczliwym spojrzeniem. Tolerowałam go, mimo że zbezcześcił moją walizkę i zachowywał się impertynencko. Przyjaźń zobowiązuje, a ja wiedziałam już, co znaczy miłośne oddanie i znalazłam błędne drogi uczuć. W miauczeniu zaś koteczki wibrowały od czasu do czasu tragiczne tony, a jej wieczorne westchnienia nasycone były gęstą i ciemną melancholią. Może rudy był sadystą? Może znęcał się nad nią psychicznie? W przeciwieństwie do koteczki nie patrzył nigdy prosto w oczy, a zaczepiony wzrokiem umykał ze swoim wejrzeniem. Musiałam więc szanować tajemnicę tego związku, który skądinąd sprawiał wrażenie stadła dobrego i nierozzerwalnego.

Koty mogły przebywać w moim pokoju wtedy jedynie, gdy im na to zezwoliłam. Zaglądały do niego chętnie, choć obowiązywały tu surowe i ograniczające wolność prawa. Gdy jadłam, nie wolno było wskakiwać na stół i przechadzać się między talerzami, na co bez sprzeciwu przystawali gospodarze. Nie wolno było także pchać mordki do talerza, ani ścierać łapką przygotowanej dopiero co kanapki. Należało czekać grzecznie na podłodze przy wyznaczonym talerzyku i wzbierać się wszelkich nachalnych gestów. Za to jedzenie było świeże i miało najróżniejsze smaki. Zawierało mięso, nabiał i ryby w ich pierwotnej postaci w przeciwieństwie do pożywienia, które wyjmowała co dzień z takiej samej puszki gospodyni, rzeczniczka wolności absolutnej.

Z gospodynią rozmawiałam z rzadka, dzieląc nas bowiem wzajemna niechęć oraz bariera języka. Pewnego wszakże dnia nasza wymuszona konwersacja zeszła na koty, jedyną rzecz, jaka nas trochę ze sobą wiązała. Wtedy dowiedziałam się, że rudy kocur jest kastratem. To tłumaczyło jego nadmierną otyłość i agresywne usposobienie. Za tę właśnie cenę mógł być wolnym kotem w cywilizowanym mieście pełnym wolnych kotek i wolnych ich właścicieli, którzy nie mogli ponosić odpowiedzialności za jego ewentualną aktywność erotyczną. Od tego dnia zapraszałam ich do siebie zawsze razem. Nie zwracałam się też do nich inaczej jak: „moja droga Heloiza” i „mój biedny Abelardzie”.



HYDE PARK czytelników

Dzisiaj prezentujemy kilka najbardziej udanych wierszy z zestawu, który nadesłał nam p. WIESŁAW JARMUŁOWICZ z Krakowa. Podoba nam się tu sposób realizacji pomysłów, oszczędność słów, widoczne doskonalenie własnego warsztatu pisarskiego. Życzymy powodzenia!

Bóg podcierwieni
wielki nokliwizer

bóg infra
uczony sonograf

Jedzie na srebrnej
łyżwie krawędzi
świata

Świątek

Rude włosy Ewy
długie włosy Ewy
zapuściły w ziemi
korzenie
stoł brzydka
placze przyrośnięta
klocek lipowego
drewna wypuszcza
jaskrawozielone pędy

Znaki na mokrym piasku
małe ślady łapek
mewy chodzą
po plaży
stawiając koślawe
litery
nie rozumiem tego
pisma
krótkie historie między
jednym a drugim uderzeniem
fali

Inwazja

Mrowisko w twoim ciebie
białe mrowki w korzytarce
zł
toczą walkę z intruzami
przegrywają
czujesz łaskotanie
ale się nie uśmiechasz
wiesz co to znaczy.

Witold Turdza odkrywa nieznane arcydzieła

W niewielkiej miejscowości Gaj w Sandomierskiem, znajduje się skromny, pięknie położony ale mocno zdewastowany dworek. Początkami sięga on XVI wieku, kiedy to rodzina Kochowskich wybudowała renesansowy dwór murowany. W czasie potopu szwedzkiego spłonął. Szybko jednak został dzwignięty z ruiny. Później był jeszcze wielokrotnie przebudowywany, aż przybrał charakter typowego polskiego dworku i w takiej postaci doczekał naszych dni. W XVIII wieku ród Kochowskich podupadł. Dwór w Gaju został sprzedany i odtąd często zmieniał właścicieli, zachowując wszakże stylową charakter. Ostatnimi czasami był siedzibą Towarzystwa Miłośników Gaja i Okolic. Niestety towarzystwo zmuszone było rozwiązać się z

powodu braku członków i opustoszały dwór gwałtownie niszczał. Przegnięte gonty powypadały z dachu, grzyb zajął ściany, a kolumny ganku zaczęły pękać i groźnie chylić się. Aż wreszcie jedna runęła i wtedy, niespodziewanie, ujawniła tajemnicę.

Oto pod bazą kolumny umieszczono, niczym kamień węgielny, skrzyneczkę zawierającą rękopis *Wirydara poetyckiego* z wierszami Wespazjana Kochowskiego. Poeta był przez pewien czas właścicielem rodzinnego Gaju, do którego był silnie przywiązany. Sam zapewne umieścił swe wiersze pod kolumną domu. W jednym ze swych poematów pisał, że chce zaznać nieśmiertelności. Zadbaj tedy, by jego utwory przetrwały stulecia będąc dosłownie fundamentem tego, co budował. Raz jeszcze ulotne słowa spisane na papierze okazały się trwalsze od kamienia.

Ciekawe, że *Wirydarz* zawiera, obok już znanych wierszy poety, także zupełnie dotąd nieznane. Oto właśnie jeden z nich.

Wespazjan Kochowski

MIŁOŚĆ

Miłość wdzięczną płaszyną, gdyć ona zakwile,
Podczas serce pograżnie przez gwałt, jednej chwile
Chocia bystrze rozumiesz o swojej dzielności,
Przecię nadoświadczeńszy, nie zbiedzisz miłości.
Masz ohydą ustąpić, choć pełen nadzieje
Darzo bontem wojujesz, jednoć się rozśmiej.
Dzisiaj w cenie takowej iże dasz ją кату,
Gościem zda się o jutrze pożądanym światu.
Poko czeka na woli, przelo rad ją gani,
Czem idzie, gdzie przymusna jemu każe pani?
Tak koń hasze, uporny, wirzga, kopie nogą,
Aż ci pan go zażyje i w niewole sroga.
By też czasem chęć miawszy tupać, darsko bierze,
Na munsztuku przytrzymaj w strasnej manierze.
Kto się sądzi miłości niepotrzebnie wdzięcznej
Jako noc jest, światłości zbawiona miesięcznej,
Niesion Fakty za wiatrem jako wlotcha plewa,
Aż oraz różnych fruktów zmienność mu dogrzewa
Harc zmierzwiwszy niestały, amowore boje,
Próżen wentur, zapocznie ulissowym krojem
Domu szukać swojego — alie lubo chutnie
W strony brdąka, nie może zażyć owej lutnie.
Wspomnij tę niefortunę, jak gdy Latonidzie
Dafnę śliczną przyścigną nadaremno przydzie,
Tak li próżno na zjadle słyskuje wyroki;
Krzem bobkowym pirzechlwa dziewka puszcza sok
Ziścielo się przysłowie: pono czeze poswarki,
Jak rabiak tak dostanie każdy według miarki.

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Babus, Waclaw Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wiśława Szymborska, Witold Turdza, Lucyna Walas — redaktor techniczny.

Dyżur redakcji: poniedziałki, środy, godz. 13—14, tel. 22-09-85. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

ISSN 0867-4094